

„NASZA ROTA”

Ks. Romuald Moskała T.J.

KRAKÓW 1946

WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY

Można drukować

Kraków, dnia 12 sierpnia 1946.

Ks. Władysław Lohn T.J.

Prowincjał Małopolski

Nihil Obstat

Julianus Humeński S.I.

L. 4046/46

POZWALAMY DRUKOWAĆ

Z Książęco-Metropolitalnej Kurii

Kraków, dnia 18 lipca 1946 r.

† Stanisław Bp.

Wik. Gen.

Ks. Stefan Mazanek

Kanclerz

KRAKÓW 1946

WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY

KSIEŻA JEZUICI – KRAKÓW, KOPERNIKA 26

DRUKARNIA UDZIAŁOWA W KRAKOWIE – M-08146

Przedmowa

Niespełna przed dwudziestu laty po raz pierwszy zdecydowałem się na nabożeństwach sodalicyjnych Sodalicii Inteligencji Męskiej w Krakowie w przemówieniach od ołtarza przeprowadzić analizę rotę ślubowania sodalicyjnego. Stało się tak, że nie skończywszy mego zamierzenia oddałem kierownictwo tej Sodalicii w inne ręce.

Ale przy tej pierwszej próbie przekonałem się już, że rota zawiera bardzo bogatą tematykę do przemówień, dając możliwość wniknięcia głębszego w wartość sodalicyjnej organizacji i w znaczenie zobowiązań poszczególnych członków Sodalicii z tej rotę wynikających. Zauważyłem też, że członkowie Sodalicii z dużym zainteresowaniem wsłuchiwali się i wczuwali w uwagi, jakie wówczas mogłem im na ten temat podać.

Fakt ten skłonił mnie do dalszych usiłowań, by w Sodalicjach, którymi miałem szczęście kierować, przejść w rozważaniach i przemówieniach całą rotę i w ten sposób wniknąć w jej znaczenie i głębie świętych myśli w niej zawartych. Tak, się złożyło, że faktycznie miałem więcej sposobności zrealizować me usiłowania w Sodalicjach żeńskich i stąd tekst rotę, który stanowi podstawę do niniejszej pracy, jest - jeśli tak można powiedzieć - wzięty z Sodalicii żeńskich.

Wiadomo, że Sodalicje żeńskie używają tekstu, pochodzącego od św. Jana Berchmansa, klero Tow. Jezusowego, natomiast Sodalicje męskie posługują się tekstem ułożonym przez św. Franciszka Salezego.

Od początku miałem zamiar przeprowadzić analizę rotę dla Sodalisów i ewentualnie skorzystać z tego zawierzenia nie tylko słowem żywym lecz i drukowanym. Kiedy jednak okoliczności tak się złożyły, że wprawdzie miałem sposobność przeanalizowania tekstu św. Jana Berchmansa i następnie zacząłem szczegółowo zestawiać obydwie teksty doszedłem do wniosku, że między obydwoma rotami nie ma nie tylko żadnej zasadniczej różnicy, ale że tok myśli w jednej i drugiej pokrywa się całkowicie, a różnica jest jedynie w większej obfitości słów w rotę św. Franciszka. A zatem samo meritum ślubowania nic nie straci na wartości, czy się zanalizuje ten czy inny tekst.

Zamiarem moim w przygotowaniu do druku tej pracy było wszystkim Sodalicjom i męskim i żeńskim ułatwić zrozumienie rotę ślubowania i ukochania jej treści na to, by ich członkowie mogli goręcej kochać Matkę Najśw. i jeszcze wierniej Jej służyć. - Zdaje mi się, że ta skromna praca, pozwoli zarówno Księżom Moderatorom, jak i poszczególnym członkom Sodalicii wysnuwać z własnych dusz jeszcze głębsze myśli i o wiele gorętsze

uczucia, niż te, jakie zawierają następne stronicie, a to już byłoby dla mnie największą radością.

Kraków, w dzień Zwiastowania Najśw. Maryi Panny 1946.

Święta Mario!

Pierwsze słowo jakim się odzywamy w naszym sodalicyjny ślubowaniu jest to pełne tajemnicy i wielkości słowo „święta, „święty”. Tak jest, pełne tajemnicy i wielkości. Przypominamy sobie z dziejów narodu wybranego ze wówczas, gdy Mojżesz przy górze Horeb zobaczył krzak gorejący i z ciekawością zbliżał się doń, by przyjrzeć się lepiej temu dziwnemu zjawisku, iż krzak płonął, a nie spopielał się w ogniu, usłyszał głos Boży „Zdejm obuwie, albowiem miejsce na którym stoisz, ziemią święta jest”. Pan Bóg zażądał szacunku dla ziemi uświęconej obecnością Swoją, szacunku zewnętrznego, który miał być wyrazem wewnętrznego przejścia się wobec świętości. I ten szczegół jest dla nas poważną przestrogą, że nie wolno nam bez szacunku i bezmyślnie wymawiać tego słowa, nie wolno nam się nim posługiwać w naszym sodalicyjnym ślubowaniu inaczej, jak z pełną respektu i najgłębszego zrozumienia wielkości tego słowa i jego treści zarówno ze względu na osobę, do której tym słowem się odzywamy jak i ze względu na znaczenie tego słowa dla nas.

„Sancta „sancte sunt tractanda” - do świętych rzeczy święcie należy się odnosić, mówi łacińskie przysłowie, które nasz poeta wypowiedział jeszcze dosadniej w znanym [powiedzeniu]: „A świętości szargać nie wolno, bo trza, aby święta była”.

Ludzka mowa zna wiele przymiotników na określenie pozytywnej wartości przedmiotu i osoby. I człowiek umie zająć odpowiednie stanowisko wobec tych przymiotów, które charakteryzuje tymi pozytywnymi epitetami. Podziwia to, co jest piękne, czuje respekt wobec tego, kto jest mądry, a pociąg do tych osób i tych przedmiotów, które nazywa dobrymi. Tam zaś, gdzie nie ma odpowiedniego ustosunkowania się do tych wartości, tam brak kultury ducha, tam jest jakiś prymitywizm serca albo zła wola. I oto przymiotnik „święty” zdaje się skupiać w sobie wszystkie możliwe pozytywne wartości i przedstawia taką ich pełnię, że każde inne określenie jej będzie już bardziej nieudolne i niewystarczające. Wszak wiemy, że nie tylko ludzka, ale i anielska mowa na określenie doskonałości Bożej znalazła tylko jedno słowo „święty”. Stąd też jeśli się mówi o czymś świętym a stworzonym, to mimo wszystko chce się określić coś najwyższego, najgodniejszego, coś co jest w człowieku, w stworzeniu z Boga i Bożego.

I my zdajemy sobie z tego sprawę, że stawiając na czele sodalicyjnego ślubowania to słowo, nie czynimy tego przypadkowo i bez najgłębszego celu. Celem zaś tym jest w pierwszym rzędzie uznanie i cześć wobec Najświętszej Panny, a następnie zdeklarowanie naszego stanowiska wobec Świętości.

Jeżeli święta była ziemia, z której przygodnie korzystał Bóg, aby powołać Mojżesza na wodza ludu wybranego, to o ileż świętszą jest osoba, która stała się przybytkiem wszelkiej łaski, która Bogu dała ciało i wychowanie, z którym bolała przy rodzeniu się Kościoła, stając się przez to wszystko Matką Boga Matką Kościoła. I przed tą świętością największą

skłaniamy w najgłębszym szacunku głowy, do stóp Najświętszej ścielimy nasze serca, w holdzie zginamy przed Nią kolana. Chciejmy zrozumieć, że akty te są naszym uprzywilejowaniem, gdyż dziś na świecie są miliony ludzi, które tej świętości nie znają i drugie miliony, które jej nie uznają. A im bardziej z tego uprzywilejowania zdawać sobie będziemy sprawę, tym goręcej serce nasze musi pragnąć świętość tę uczcić, świętością ona się przejmować i o jej uznanie dbać.

W naszym ślubowaniu sodalicyjnym spoglądamy rzec by można w oczy świętości, zbliżamy się do niej i chcemy z nią obcować. Mamy tę odwagę, tę śmiałość, mamy ten zaszczyt i tę radość. W tym naszym spojrzeniu i obcowaniu opieramy się nie tylko na jakimś naturalnym rozumowym instynkcie ciekawości, który interesuje się wielkością taką czy inną, ale opierając się na dogmacie o obcowaniu świętych rozumiemy, że wchodzimy z tą świętością żywą w żywy kontakt, że nawiązujemy z nią stosunek ludzki, ale nadprzyrodzony; nadprzyrodzony, ale realny, że przez nasz stosunek świętość ta staje się w jakiś sposób jakby naszą własnością, nam specjalnie bliską, a równocześnie, że my dostajemy się pod wpływ tej świętości i że przez ten kontakt ona, nas w pewien sposób jakby przenika, przejmuje.

I z tego faktu należy sobie też szczególnie zdać sprawę. Szukamy w naszym życiu ludzi mądrych, aby od nich uczyć się mądrości, szukamy osób wesołych i pogodnych, aby w ich towarzystwie rozpromienić nasze przygnębione często usposobienie radością, dbamy o dobre stosunki a przynajmniej o znajomości z osobami, aby zyskać ich poparcie. Po cóż zbliżamy się do największej stworzonej świętości, po co do niej apelujemy, dlaczego nawiązujemy naszym sodalicyjnym ślubowaniem szczególniejsze z nią węzły?

Czy tylko po to, by podziwiać i czeić? Czy tylko po, by u niej kołatać o pomoc, o miłosierdzie? Czy tylko po to, by wobec niej czuć swą małość i marność, słabość i niewierność?

Gdyby nasz stosunek do Matki Najśw. miał polegać tylko na teoretycznej kontemplacji albo na praktycznym wyzyskiwaniu Jej świętości i to może do celów ziemskich, a bywa przecież i tak; gdyby nasze zbliżenie do Jej świętości miało nas peszyć, wprowadzać w duszę zwątpienie, zniechęcenie, to popełnilibyśmy największą pomyłkę w życiu i skrzywdzilibyśmy zarówno siebie, jak i samą świętość. Chcemy obcować z świętością Matki Bożej, powiedzmy to wyraźnie, konkretnie i dobitnie, dlatego by świętość realizować w naszym życiu, być świętymi.

Tak trzeba powiedzieć, że nie co innego, ale świętość jest celem życia sodalicyjnego, jest całą racją istnienia tej organizacji i przyczyną jej uprzywilejowania przez oficjalne czynniki kościelne. Świętość jest celem działalności sodalicyjnej, ta świętość najpierw w obrębie całej organizacji i indywidualnie w duszy każdego członka, a następnie na zewnątrz w każdej duszy, z którą możemy nawiązać duchowy kontakt.

Świętość nie była nigdy obca sodalicjom, tak dalece, że sodalicje w ciągu wieków miały szczęście doczekać się nieomylnego uznania świętości sodalisów i sodalisek i ich powszechnej czci w Kościele.

Świętość też stała się naszym celem w tej chwili, kiedy oficjalnie odezwaliliśmy się u stóp ołtarza do Matki Najśw. naszym ślubowaniem sodalicyjnym, w którym od razu wyznajemy, że mamy do czynienia ze świętością, że nam chodzi o świętość, na której - w odróżnieniu do świętości innych Stowarzyszeń - ma się głęboko wycisnąć nasze sodalicyjne

nabożeństwo do Matki Najśw. Innymi słowy nasze dążenie do świętości ma mieć na sobie cechę „maryjną”.

A jednak jeśli chcemy być szczerzy wobec samych siebie, to przychodzi nam poważna wątpliwość, czy dość na serio dość poważnie o tej świętości, wobec świętości i wśród świętości myślimy? Owszem może nie tylko wątpimy, ale wyczuwamy w duszy naszej jakąś determinację, że świętość jest mimo wszystko dla nas nie do zdobycia, marzeniem nieziszczalnym. Niekiedy znów stawiamy wobec postulatów świętości mniej lub więcej świadomie jakieś zastrzeżenia. Pewnie, świętość - rzecz wielka, sprawa najważniejsza, ale jeszcze nie teraz. Przecież my chcemy jeszcze wesoło się śmiać i obejmować życie całą szerokością naszych ramion i otworzyć życiu na oścież nasze serce. Kiedyś, gdy siwizna przyprószy nam głowę, a reumatyzm skrępuje nam członki, da się wszystko nadrobić. Ale nie teraz, gdy fantazje mamy bujniejsze od naszych fryzur, a w członkach czujemy pulsowanie młodej gorącej krwi. - Tak, po cichu, już się zdecydowaliśmy, że słotną jesień i twardą zimą ofiarujemy P. Bogu, ale pachnącą wiosnę i gorące lato zatrzymujemy dla siebie, bo nam się przecież też coś od życia należy. Że jednak w tym jest niewłaściwość, żeby nie powiedzieć wprost grzech, który zabójczym jadem może niekiedy nas zatruwać, o tym sami również dobrze wiemy. A czując tę niewłaściwość chcemy ją przynajmniej tak naprawić, że, Matce Najśw. i Jej czci poświęcamy maj każdego roku. Lecz to nie wystarczy. Nie tylko maj, ale cały rok i całe życie zdecydowaliśmy się skierować ku wyżynom świętości, a jeśli ta decyzja w nas nie jest dość wyraźna, dość stanowcza i konsekwentna, to przypomnijmy sobie, że sprawa naszej świętości nie jest pozostawiona nam do woli. Rzeczywiście, że zależy od naszej wolnej woli, ale ta wola ma obowiązek, ścisły i prawdziwy - obowiązek dążyć do świętości.

Czyżby na próżno w jakimś tylko krasomówczym patosie powiedział P. Bóg te słowa w objawieniu: „Bądźcie świętymi, bo ja jestem święty!” Czyżby w niwecz miały się obrócić wysiłki Jezusa Chrystusa w naszym ja? Przecież św. Paweł te Boże zamiary konkretyzuje wyraźnie w woli uświęcenia naszego. „A ta jest wola Boża uświęcenie wasze”. Czyż mamy odwagę sądzić, że ta wola Boża nas nie obejmuje?

Jesteśmy przecież katolikami, czyli należymy do świętego Kościoła Chrystusowego. Wierzymy „w święty Kościół powszechny”, którego celem i istotą jest świętość. Na to jest Kościół, by świętość udostępniać wiernym. Święte są urzędnia w Kościele, święte sakramenty, święty jego Założyciel i najświętszy cel. Tragedią Kościoła stało się to, że całe zastępy katolików zapomniały o świętości, że przyswoiły sobie tylko jej tytuł, a zapomniały o treści katolicyzmu.

Dlatego my w sodalicjach się gromadzimy, żeby na przekór temu, co wielu robi z katolicyzmu, co mnóstwo sądzi o świętości i Kościoła i swojej, postawić świętość jako ideał życia przed sobą. Ideał daleki, ale osiągalny, ideał wysoki, ale rzeczywisty, ideał Boży, ale i nasz zarazem. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie ani Sodalicji, ani katolicyzmu. Kto tego nie chce, ten żyje zakłamaniem wobec własnego sumienia i wobec otoczenia.

Jednak nie myślmymy o świętości tak, jak to skłonna jest sądzić naiwność, że świętość jest tylko na ołtarzu i tylko w aureoli, a my przecież nie chcemy być na ołtarzu i być na oczach wszystkich, a nam przecież z aureolą nie byłaby do twarzy. Zresztą prawdziwi święci, również i ci kanonizowani, nie myśleli o aureoli, ani o tym, by znaleźć się na ołtarzach. Za to ich myśli, ich dążenia zmierzały ku temu, by nie poprzestawać tylko na unikaniu grzechów, zwłaszcza ciężkich, ale żeby jak najdoskonalej pełnić wolę Bożą, by w swoim życiu i na

swym stanowisku jak najpełniej odzwierciedlać wzór Jezusa i Marii. Jednym słowem, by całe postępowanie swoje zamienić w wierną służbę Bogu i bliźniemu, w służbę przepojoną na wskroś miłością Bożą.

I my, sodalisi, do takiej świętości zdążajmy. Niech nam chodzi o świętość dnia powszedniego, o świętość naszych uczynków i naszych pobudek, z których te czyny wynikają. I krótko mówiąc świętość życia, która nas obowiązuje mocą naszego sodalicyjnego powołania i przykazania Bożego.

Przykazanie wypowiedział wyraźnie Chrystus Pan w tych słowach „Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski jest doskonały”. Jeśli zaś komu wydają się te słowa Pana Jezusa niewystarczające, to - zwraca uwagę O. Lekeux w swoim dziełku „Świętość a dobra wola” - niech sobie przypomni pierwsze i najważniejsze przykazanie: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej myśli twojej, ze wszystkich sił twoich; to jest pierwsze i największe przykazane”. Chyba w tym przykazaniu jest wyraźnie postawiony obowiązek miłowania Boga. Czyż zaś zwątpić możemy, że ten, kto w taki sposób P. Boga miłuje, jest święty? - A więc prosty jest wniosek. To pierwsze przykazanie i nas obowiązuje, a zachowując to przekazanie stajemy się świętymi.

Lecz jeśli nawet w obliczu tak jasno postawionego obowiązku jeszcze wydawać się nam może, że świętość przerasta siły nasze, że jest brzemieniem nie do dźwignięcia, to znowu przypomnijmy sobie to, co o miłości Boga powiedział Chrystus Pan. Któż to miłuje P. Boga ze wszystkich sił swoich? Ten i tylko ten, kto chowa przykazania Ojca, czyli ten, kto pełni wolą Bożą. Chciejmy zrozumieć i pokochać tę myśl Chrystusa. Kiedy świętość staje przed nami niby niebotyczna góra, której szczyt nurza się w nieskończoności, i kiedy ta je niebotyczność od razu jakby podrywa nam nogi, P. Jezus tym swoim słowem rozwiewa nasze obawy i zniechęcenia. Świętość nie jest za wielkim ciężarem. Przeciwnie jest tak lekkim, ciężarem, jak ciężar codziennego naszego obowiązku, jak nasza zawodowa praca, nasza wyrozumiałość wobec bliźniego, nasza solidność w powszednim pacierzu i uwaga podczas Mszy św. Tak lekka jak nasza uprzejmość i pogoda w czasie zabawy i umiarkowanie w tym wszystkim, co się nazywa odżywianiem i odpoczynkiem dla ciała. Bo świętość jest tylko tam, gdzie jest łaska Boża i nasza możliwość, a zarówno łaska jak i nasza możliwość sięga bezkresnie daleko bo aż do świętości, wedle tego co powiedział św. Paweł: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”.

Na szczyt świętości podchodzimy każdym krokiem naszego dobrze spełnionego codziennego obowiązku. A o to wszak dbamy i o to modlimy się codziennie w pacierzu „...bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...” Modlimy się więc faktycznie o naszą świętość, choć może nawet o tym nie wiedzieliśmy. Czyż jednak mielibyśmy odwagę czynić w pacierzu naszym zastrzeżenia, że nam nie chodzi o pełnienie woli Bożej, że my samych siebie wyjmujemy spod tej prośby?

Nie bójmy się spojrzeć w oczy świętości, nie wahajmy się stawiać jej za cel życia naszego, wszystko jedno w jakim stanie i wśród jakich okoliczności. Jesteśmy na to członkami sodalicyj, aby w sobie podsycać tę odwagę, by być świętymi, by tę odwagę zamieniać w wielkość świętości nawet w małych rzeczach. Dlatego spoufalajmy się ze świętością Bożej Matki, by Jej świętość stała się naszym przykładem, udziałem, otuchą i ustawiczną przyczyną.

Imię Maryi

Z świętością mamy do czynienia, kiedy wypowiadamy formułkę ślubowania sodalicyjnego, z świętością chcemy się zetknąć odzywając się tym ślubowaniem do Matki Bożej. Lecz różne są świętości i różne świętości stopnie, jak to plastycznie przedstawił św. Paweł, twierdząc, że „świętość od świętości różni się jak gwiazda od gwiazdy swą jasnością”. My przez nasze sodalicyjne zobowiązania i życie według nich chcemy się zetknąć z największą stworzoną świętością, aby przez nią utorować sobie drogę i przystęp do świętości absolutnej. Dlatego w rocie ślubowania sodalicyjnego, którą się posługują Sodalicje męskie, odzywa się sodalis słowami: „Najświętsza Panno Bogarodzico Maryjo”. Wielkość tej świętości wyrażamy w naszej rocie ślubowania i konkretyzujemy ją imieniem Matki Bożej, imieniem Maria.

Słowo każde, jak wiemy, zawiera pewną treść, posiada swoje znaczenie, które w życiu ulega różnym zmianom. Wśród słów, które niewątpliwie są najbogatsze w treść i w treści swej zdolne do największych przemian są nazwiska względnie imiona. Imię każde zawiera w treści swej całą indywidualność każdego człowieka, z jej pozytywnymi i ujemnymi wartościami. A że wartość człowieka może ulegać zmianom, więc i treść imienia jest pod pewnym względem tak zmienna jak samo ludzkie życie. Treść imienia nie ulega zmianom tylko wtedy, gdy człowiek dokończył swego żywota. Ale można powiedzieć, że są pewne osoby, które przez wyjątkowe stanowiska w dziejach tego czy innego narodu albo i całej ludzkości zdobyły dla swego imienia treść przysłaniającą wszystkie inne ich właściwości, i raz na zawsze ustalając ich powszechną opinię. Z racji takiego czy innego faktu, którego dokonał ktoś na tle dziejów, z racji swej głównej właściwości i znamiennej cechy charakteru przydaje ludzkość wyjątkowym postaciom specjalne przymiotniki, ujmujące te właśnie ich zalety czy wady. Stąd powstaje znane zjawisko „nomen est omen”, że imię samo jest przepowiednią dziejów danego człowieka, o ile oczywiście było mu nadane przed rozpoczęciem tych dziejów, a nie po ich zakończeniu.

I Najświętsze Imię Maryi Panny ma swoją najbogatszą indywidualną treść zawiera bowiem całą Matki Bożej dostojność i w opinii bardzo wielu mariologów zawierało jakby prorocze znaczenie.

Kiedy jednakże chcemy dotrzeć do właściwego znaczenia tego imienia, abstrahując od samej indywidualności i godności Matki Najśw., a opierając się tylko na etymologii wyrazu, to niebawem spotkamy się z wielką trudnością. Egzegecie Pisma św. i znawcy języków wschodnich, w tym wypadku hebrajskiego i aramejskiego, wymieniają wiele różnych znaczeń hebrajskiego słowa i nazwiska „Miriam” i analogicznego aramejskiego „Mariam”. Wystarczy wspomnieć, że znaczeń tych znaleziono blisko sześćdziesiąt. Najwięcej prawdopodobieństwa, a w każdym razie najwięcej zwolenników, mają znaczenia następujące: „morze gorzkie”, względnie „morze goryczy”, „kropla morza” (stilla maris), skąd się wzięło parafrazowane nazwy „gwiazda morza” (stella maris). Z tymi pojęciami łączą się jeszcze dwa inne: „gorycz miry” i „port spokojny”. Osobną grupę stanowią znaczenia, które również można znaleźć w słowie Maria: „Pani”, „piękna”, „ośniewająca”. Dwie te grupy, które mają jeszcze znacznie więcej odmian, powstały prawdopodobnie wskutek tego, że samo nazwisko Maria z jednej strony tkwi swym źródłosłowem w języku fenickim, a z drugiej w egipskim. Językowi fenickiemu prawdopodobnie zawdzięcza powstanie pierwsza grupa, językowi egipskiemu druga.

Jakie w rzeczywistości ma znaczenie imię Maryja? Które spośród tego mnóstwa najlepiej stosuje się do Matki Bożej? Bez żadnej ujemy dla świętego imienia możemy powiedzieć, że wszystkie i żadne. Ani objawienie bowiem ani chrześcijańska tradycja powszechna i poważna nie przekazała nam „faktu, żeby imię Matki Najśw. było nadane i wybrane specjalnie dla Bogarodzicielki przez samego Pana Boga. Wiemy o tym z objawienia, że zarówno Chrystus Pan jak i Boża Opatrzność wyznaczała niektórym osobom imiona. W tym wypadku jednakowoż mimo wyjątkowego stanowiska Matki Najśw, nie spotykamy się z tym zjawiskiem. Lecz chociaż nie możemy powiedzieć, że imię to wybrał Matce Najśw. sam Bóg, to ono w swej treści jest tak wielkie i szanowne, jest tak godne czci, że po prostu jest święte, że ono jedno w rzeczywistości znajduje się obok dwu innych, imion, o których cześć ujął się sam Pan Bóg.

Wiemy o tym, że przykazanie Boskie zakazuje kategorycznie nadużywania imienia Bożego i mówi wręcz: „nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno. Naród żydowski tak głęboko był przejęty ważnością tego przykazania, że do określenia Boga posługiwał się w potocznej mowie i w piśmie nie właściwym imieniem, które im zostało przez Boga objawione, imieniem Jahwe ale obrazowo analogicznym słowem Adonai. - Również pod wpływem Ducha Świętego św. Paweł wyraźnie mówi, że nikt nie jest w stanie wymówić imienia Jezus zasługując na życie wieczny bez szczególnej łaski Boskiej. W przeciwnym razie wymawianie tego świętego imienia będzie nadużyciem. On to w liście do Koryntian tak mocno zaznacza, że „na imię Jezusa wszelkie kolano klęka: niebiańskie, ziemskie i podziemne”. I oto spotykamy się z faktem, że Kościół katolicki uczący w imieniu Jezusa Chrystusa i pod wpływem Ducha Świętego, który w nim rządzi i rządzić będzie po wszystkie dni aż do skończenia świata tuż obok najświętszych imion stawia imię Matki Najświętszej i zastrzega dla niego wyjątkową cześć.

Najpowszechniej znanym tego dowodem są te wezwania, które kapłan odmawia z ludem po mszach św. - znane „Niech będzie Bóg uwielbiony”. W zbiorze tych uroczystych aktów i protestów, przeciwko bluźnierczym zwyczajom, jakie się rozpowszechniły z początkiem XX wieku, zwłaszcza w krajach południowych, Papież Pius X umieścił również owe trzy westchnienia: „Niech będzie uwielbione święte Imię Jego (Boga), Niech będzie uwielbione Imię Jezusowe”, „Niech będzie pochwalone imię Marii Dziewicy i Matki. Ale to nie jest ani jedyny ani największy dowód opinii Kościoła o obowiązku czci imienia Najświętszej Maryi Panny i o wartości tego imienia. Że Imieniu temu Kościół katolicki autorytatywnie, a więc swoją najwyższą powagą nieomyślności, przypisuje wartość świętości i wskutek tego widzi możliwość kultu tego Imienia najlepiej widzimy z faktu, że właśnie Stolica Św. — konkretnie Papież Inocenty XI — po zwycięstwie pod Wiedniem i rozgromieniu otomańskiej potęgi, wprowadził do liturgii całego Kościoła katolickiego, święto Imienia Najświętszej Maryi Panny. Święto to posiada własny formularz Mszy św. i specjalny brewiarz. A jak nie podobna jest przypuścić, by dzięki przywilejowi nieomyślności pod względem wiary i obyczajów Kościół katolicki, względnie Stolica św., mogła wprowadzić kult jakiegoś człowieka rzekomo jako świętego, który nie byłby świętym, gdyż to wprowadziłoby w chrześcijański kult swego rodzaju bałwochwalstwo, tak samo nie można inaczej pojąć tej instytucji święta Imienia Najświętszej Maryi Panny, jak wyraźnej woli Bożej określonej nieomyślnym wypowiedzeniem Stolicy Piotrowej o świętości Imienia Maryi.

Można do tego jeszcze dodać i ten szczegół charakteryzujący, jeżeli tak można powiedzieć, delikatność Kościoła katolickiego w stosunku do tego Imienia, że mianowicie przepisy liturgiczne nakazują kapłanowi podczas Mszy św., ilekroć wymawia imię Matki Boskiej skłaniać głowę, podobnie jak to poleca czynić przy wymawianiu Imienia Jezus.

Szczegół ten każe nam wysnuć bardzo wzniosły i praktyczny wniosek na nasz osobisty stosunek do tego świętego Imienia. Prawdą jest, że Imię Maria stało się tak w świecie powszechne i popularne jak przypuszczalnie żadne inne imię. Powszechność tego Imienia stała się wyrazem niewątpliwie powszechnej czci jaka pod wpływem Kościoła katolickiego rozeszła się po świecie szeroko. Lecz z drugiej strony, codzienne użycie tego imienia względem różnych osób, coraz bardziej samo imię pozbawia tej czcigodnej aureoli jaką i Bóg i człowiek starają mu się nadać i z czasem imię Marii wypowiada się bez czci i szacunku nie tylko wtedy, gdy jego właścicielem są mniej szanowne i czcigodne osoby, ale nawet i wtedy, gdy chodzi o Imię Najśw. Maryi Panny. Jako członkowie Sodalicji powinniśmy bardzo serdecznie przejąc się nie tylko tą powinnością, by osobiście nigdy nie uchybić temu Imieninowi, ale i owszem powinnością zwrócenia uwagi, gdyby kto obok nas odważył się szargać tę świętość, która jest nam bardzo drogą.

Jeśli zaś w Imieniu Najśw. Maryi Panny tkwi taka świętość i czcigodność, to trzeba konsekwentnie powiedzieć, że Imię to ma w sobie również i specjalną moc, oraz zbawczą siłę. Wolno nam w tym wypadku w dalszym ciągu przeprowadzić analogię między Imieniem Jezus a Imieniem Maryja. Jedno i drugie jest święte, chociaż w różnym stopniu i z różnego tytułu świętości. Lecz jeśli świętość Imienia Jezus jest tak wymowna i tak skuteczna, że o niej sam Chrystus Pan powiedział: „Zaprawdę powiadam wam, o cokolwiek poprosicie Ojca w imię moje da wam”, to dlaczego nie trzeba by i nie można by wnioskować, że świętość Imienia Maryi posiada również wielką skuteczność i walor u niebieskiego Ojca. Jeżeli świętość Imienia Jezus w tak wielkiej była cenie u Apostołów i tak bardzo się na niej opierali, że bez najmniejszego wahania Piotr z Janem wychodząc z świątyni w Jerozolimie wręcz oświadcza, wieloletniemu kalece, że nie mają ani złota ani srebra, ale co mają to chcą mu dać — „W Imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka wstań i chodź” — to słusznie każdy, kto treść Imienia Maryi, ceni i kocha, znajdzie w niej dość motywów do ufności w pobożne wzywianie tego Imienia, a w tym pobożnym wzywaniu Matka Najśw. znajdzie dość racji do hojności ze Swej strony.

Dlatego to św. Bernard w Homilii na Uroczystość Zwiastowania Najśw. Maryi Panny analizując słowa Ewangelii: „A Imię Panny Maryja”, między innymi tak się wyraża: „Powiedzmy coś niecoś o tym Imieniu, które w przekładzie oznacza *gwiazdę morza* i bardzo stosownie przysługuje Matce Dziewicy. Ona najwłaściwiej z gwiazdą daje się porównać. Jak bowiem gwiazda bez uszkodzenia swego wysyła swój promień, tak Dziewica bez naruszenia Dziewictwa rodzi Syna. Jak promień nie umniejsza jasności gwiazdy, tak Syn nie ujmuje czystości Dziewicy. Ona jest gwiazdą wspaniałą i szczególną, wyniesioną ponad to morze wielkie i przestronne, świecąca zasługami, przykładami jaśniejąca. O, ktokolwiek jesteś, jeżeli widzisz, że w biegu doczesnego żywota raczej wśród burz i nawałnic się miotasz, aniżeli chodzisz spokojnie po ziemi, nie odwracaj oczu od tej *Gwiazdy*, jeśli nie chcesz, by cię burze pochłonięły. Jeżeli ponoszą cię wichry pokus, jeżeli wpadasz na ostre rafy dolegliwości, spoglądaj na *Gwiazdę*, wzywaj Maryję. Jeżeli miotają tobą nawałnice pychy lub wygórowanej miłości własnej, albo zazdrości, spoglądaj na gwiazdę, wzywaj Maryję. Jeżeli gniew albo chciwość albo cielesna ponęta wstrząśnie duszy twej łodzią, podnoś wzrok ku Maryi. Jeżeli cię zacznie pochłaniać bezdenne smutek albo rozpacz, jesteś przerażony grozą sądu wskutek udręczeń sumienia, ogromem własnych win — myśl o Maryi... Idąc za Nią, nie zajdziesz na manowce. Wzywając Ją nie popadniesz w rozpacz. Mając Ją w myśli nie pobłądzisz”.

Taki nastrój powinno wywołać w nas to święte Imię, tym ono powinno być dla nas zawsze, w szczególności zaś z racji naszego związania się z tym Imieniem w sodalicyjnym życiu.

Bogarodzico!

Cokolwiek mówiliśmy na temat Najświętszej Maryi Panny i Jej godności wszystko to pozostaje jakby w cieniu wobec Jej największego dostojenstwa, które da się ująć słowem jednym „Bogarodzica”. Tytuł to jedyny i wyjątkowy przysługujący Najśw. Pannie, a tak w swej treści i w swym wewnętrznym bogactwie niepojęty, że niemal trudniejszy do pojęcia niż idea samego Boga. O ile bowiem człowiek w pewnym stopniu rozumie, że Bóg jako istota transcendentalna, nieograniczona żadną materią ani jej przypadłościami, jest sam w sobie Nieskończonością czy Doskonałością nieskończoną, to jednakowoż z wielkim zakłopotaniem stajemy wobec prawdy, że ta Nieskończoność i nieskończona Doskonałość zdołała się ograniczyć ludzką naturą w indywidualności Jezusa Chrystusa. To już zdaje się rzecz nie do wiary, fakt, w którym umysł ludzki nie tylko się gubi, ale przeciw któremu gotów jest protestować. — Bo nic w tym dziwnego, iż wzrok ludzki gubi się w bezkresach wód oceanu i że w nich skłonny jest widzieć jakby nieskończoność, lecz gdyby, ktoś biegnącej i ginącej w bezkresach myśli powiedział, że bezmiar oceanu da się ująć i zmieścić w jednej woli ludzkiej, to protest wydałby się zupełnie słuszny i uzasadniony.

Tytuł Bogarodzicy naprowadza nas na fakt, że Najśw. Panna miała bezpośredni udział w najbardziej charakterystycznym dziele Boskim jakim było wcielenie Syna Bożego. A prawda ta jest w swej głębokości tak zawrotna, że o ile przyjmujemy ją bez żadnej trudności i z radością, to wdzięczni winniśmy być niewymownie Panu Bogu, o ile zaś wywołuje w nas choćby najmniejszy cień jakiejś trudności, to nie powinniśmy ani chwili ulegać wskutek tego jakiemuś zaniepokojeniu.

Spróbujmy w krótkich rzutach spojrzeć na religijne pojęcia, których treścią istotną jest przecież nie co innego, jak połączenie człowieka z bóstwem, połączenie, które we Wcieleniu Syna Bożego doszło do zjednoczenia natur w jednej osobie i stąd stało się racją wielu trudności. Religie pierwotni widzą i wyczuwają bóstwo i zbliżają się do bóstwa w elementarnych siłach przyrody, widzą je w życzliwych czy szkodliwych zwierzętach. W każdym razie pierwotna religijność widzi bóstwo tam, skąd wychodzi zła lub pomyślna ludzka dola, czyli że bóstwo jest z człowiekiem złączone tak dalece, jak jest z nim złączona przyroda. Religie narodów o wyższej cywilizacji i kulturze duchowej, przede wszystkim starożytnych Greków i Rzymian, widzą znacznie większe zbliżenie i możliwość zbliżenia między człowiekiem, a bóstwem i bogami dlatego, że przypisują po prostu bogom przymioty, ludzkie i w człowieku pod tym względem widzą walory boskie. Dlatego też w mitologii greckiej czy rzymskiej spotykamy z jednej strony zdezonizowane bogi (Prometeusz), a z drugiej strony pretendujących do ubóstwienia cesarów i inne postacie starożytności.

Lecz i tu i tam przez materializowanie bóstwa, religijność zatracala swą subtelność i niebawem przeradzała się w czczą formalistykę religijną albo w praktyczną areligijność. Trzeba jednakowoż przyznać, że starożytność i klasyczna i dalekiego wschodu, potrafiła swoją umysłowością dojść do pojęcia bóstwa jako bytu transcendentalnego, niematerialnego czyli nieskończonego, którego żadna siła ani ograniczyć ani nim powodować nie może. Pojęcia takie o bóstwie można uważać za największy sukces umysłu ludzkiego, a w szczególności umysłu tej miary, jak grecki filozof Arystoteles. Kiedy jednakże rozum ludzki potrafił tak wysubtelnić samo pojęcie Boga i wyzbyć się fałszywych i ubliżających Bogu

przymiotów i narowów ludzkich, to równocześnie popadł w inny tragiczny błąd, że mianowicie nie widział możliwości przejścia między nieskończonością Boską a ograniczonością samego człowieka. Jeżeli domyślał się jakiegoś wpływu owej transcendentalnej nieskończonej mocy, to widział go raczej w ślepych fatum albo na modłę wschodnią widział konieczność rozplynięcia się w absolicie indywidualności ludzkiej, a więc ewolucja w odwrotnym kierunku, skoro stworzenie i świat jest koniec końców tą czy inną panteistyczną emanacją absolutu.

Lecz nie możemy się tym gorszyć, iż umysł ludzki pogańskiego świata tak bardzo mimo całej swej subtelności zbłądził i pozostał z dala od prawdy. Wiemy o tym, że wśród wszystkich narodów starożytności jeden tylko naród miał niezmacone pojęci nieskończonego i duchowego Boga z którym utrzymywał bardzo daleko sięgające religijne stosunki. Stosunki tak daleko sięgające, że państwowa organizacja tego narodu była jedynym bożowładztwem — teokracją... Pojęcie bóstwa i poufałość w obcowaniu z Bogiem, choć bardzo daleka od tej, jaką cieszymy się w Nowym Testamencie, była tak głęboko wryta w świadomość członków narodu żydowskiego, że równej jej nie możemy nigdzie znaleźć w całej starożytności.

I to na podstawie dokumentów historycznych wiemy, że to zbliżenie i poufny stosunek z Bogiem i przechowanie nieskażonej wiary w nieskończoność duchowego Boga miało za cel nie co innego, jak przygotowanie gruntu w tym narodzie pod bezpośrednią ingerencję Bożą nie tylko w dzieje narodu wybranego, ale w dzieje całej ludzkości przez realizację obietnicy Wcielenia Syna Bożego. A kiedy fakt ten doszedł do skutku i kiedy Jezus Chrystus począł spełniać Swą rolę Mesjańską i wyraźnie mówił o swym Boskim posłannictwie, a na oczach wielu tysięcy dokonywał swą Boską Mocą cudów i kiedy spytał się apostołów, za co Go uważają ludzie, to usłyszał odpowiedź rzeczywiście zdumiewającą: Jedni mieli Go za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, a inni za innego z proroków. A kiedy Chrystus Pan spytał się samych Apostołów, za kogo oni Go uważają, to odezwał się jeden głos — Piotra Apostoła: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego”, na co mu Jezus odpowiedział w dziwnych słowach: „Błogosławiony jesteś Piotrze Barjona, albowiem nie ciało i krew powiedziało tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech”: Czyli — jednym słowem — Pan Jezus sam wyraził tu prawdę, iż zjednoczenie bóstwa z człowiekiem w ogóle, a w szczególności natury Boskiej i ludzkiej w Jezusie Chrystusie jest mimo swej rzeczywistości tak trudnym dla umysłu pojęciem, że bez łaski Boskiej specjalnej, wiara w ten fakt bezwzględnie silna i stała jest nie do pomyślenia. Z dziejów Jezusa Chrystusa wreszcie wiemy, że przyczyną skazania i prawnym uzasadnieniem arcykapłańskiego sądu i wyroku śmierci na Jezusa Chrystusa było to, że „będąc człowiekiem mienił się być Bogiem”.

Lecz Chrystus nawet pod grozą śmierci, prawdy tej się nie zaparł, a na dowód przyjął nie tylko krzyż na swe ramiona, ale potęgą ramienia Boskiego, Swego własnego bóstwa, odwalił kamień grobowy i wyszedł z grobu jako zwycięzca śmierci.

Z tą wiarą w prawdziwą Boskość Jezusa Chrystusa, zjednoczoną osobowo z Jego naturą ludzką, poszli Apostołowie w świat nauczając wszystkie narody. Prawda ta stanowiła podwalinę wiary chrześcijańskiej, nią wierni pierwszych wieków żyli i za nią umierali. Lecz mimo to prawda ta nie stała się łatwiejszą do przyjęcia dla ludzkich umysłów. Stąd całe mnóstwo różnego rodzaju herezji, które od pierwszych dni chrześcijaństwa, rzekomo w obronie czci prawdziwego Boga i godnego dlań kultu religijnego, raz wobec niezaprzeczonego faktu historycznego postaci Jezusa Chrystusa, odmawiały Mu prawdziwej Boskości (Arianie), kiedy indziej rzeczywistości ludzkiej natury i fizycznego ciała

(Monofizyci), lub wreszcie zjednoczenia hipostatycznego czyli osobowego tych dwóch natur w Jezusie Chrystusie.

I nie myślm, że trudności te powstawały w jakichś zapalonych i niedowarzonych głowach. Z dziejów chrześcijaństwa wiemy, że zwolennikami tego rodzaju poglądów, byli ludzie wysoko postawieni w kościelnej hierarchii, skądinąd bardzo gorliwi i przykładni kapłani. Wiele lat upłynęło, zanim nauka kościelna stała się pod tym względem tak wyraźną i przekonywującą, iż odejścia od niej uznano za prawdziwą herezję i odszczepieństwo.

W szczególności, jak sobie przypominamy, godność i tytuł Bogarodzicy przedstawiały wiele trudności dla poważnych umysłów i stały się przedmiotem wieloletnich sporów, wreszcie tematem Soboru Powszechnego i uroczystej definicji na Soborze Efeskim 431 roku. Lat temu kilkanaście obchodziliśmy uroczyste 1.500-letni jubileusz uroczystego ogłoszenia dogmatu, iż Matka Najśw. jest Rodzicielką Boga. Tam to w pierwszym kanonie tegoż Soboru powiedziano: „Kto nie wierzy, że Emanuel jest Bogiem i dlatego Najśw. Dziewica jest Bogarodzą, niech będzie potępionym — porodziła Ona bowiem w łonie Słowo, które ciałem się stało, a jest z Boga”. Zanim jednak do tej uroczystej definicji doszło, wrzała walka bardzo poważna i bardzo niebezpieczna. Oto Arcybiskup Konstantynopolitański wraz z 16 biskupami nauczał, że między naturą ludzką a Boską Jezusa Chrystusa nie było osobowego zjednoczenia, że wobec tego Najśw. Panna poczęła i porodziła tylko ludzkie ciało, a nie osobę Jezusa Chrystusa. Podobnie nauczał współczesny mu Patriarcha Antiocheński Jan, mając jako zwolenników swej nauk podległych sobie biskupów. Prócz tego współcześni poważni teologowie występowali w piśmie z obroną takiej tezy.

Z tych kilku wzmianek, które przypominając nam znane szczegóły z obchodów jubileuszowych ujęte zresztą w księdze pamiątkowej Kongresu Mariańskiego z 1931 r., łatwo się domyślić, jak sprawa macierzyństwa Bożego Matki Najśw. z jednej strony jest trudna do pojęcia dla umysłu ludzkiego, z drugiej zaś tak ważna w całej ekonomii zbawienia i w systemie chrześcijańskiej wiary. Aż specjalnego kongresu trzeba było, soboru powszechnego, by tę sprawę rozstrzygnąć. Sprawa ta była jedynym tematem dyskusji i rozważań powszechnego soboru Efeskiego, trwającego przez parę miesięcy. Dzieje soboru opowiadają nam, że kiedy wreszcie na soborze pod natchnieniem Ducha Świętego ustalono dogmatyczną naukę Kościoła dotyczącą Bożego macierzyństwa Najśw. Panny, miejscowa ludność Efezu i ta, która zaciekawiona i zainteresowana sprawą, przysłała z dalszych okolic, w radosnych okrzykach i pieśniach i triumfalnych pochodach dała wyraz swemu zadowoleniu, iż tęsknota serca, dotychczasowa wiara w Boże macierzyństwo Panny Maryi doznała potwierdzenia.

My dziś nie przeżywamy ani nie jesteśmy świadkami walk o ten tytuł Bogarodzicy. Wiemy o nim, przyjmujemy go silną wiarą bez żadnych głębszych emocji. I może słusznie nie należy sobie życzyć, aby w duszy naszej choćby indywidualnie powtarzały się zmagania, jakich widownią były pierwsze wieki chrześcijaństwa na temat macierzyństwa Bożego. Najśw. Panny. Czy jednak nie uderza nas to, że ta przeogromna prawda i ta wyjątkowa godność Najśw. Panny Maryi nie przejmuj nas głębiej i żywiej, że zbyt mało doznajemy serdecznych wzruszeń kiedy w dniu powszednim tak często powtarzamy: „Módl się za nami święta Boża Rodzicielko!”...

Ileż powinno być wdzięcznych uczuć w naszym sercu za to, że prawda ta jest prawdą naszą przez wiarę świętą uznawaną, że nie żyjemy w czasach, w których moglibyśmy być wrogami tej prawdy... Ile radości powinno drgać w naszym sercu dlatego właśnie, że mamy możliwość zbliżyć się do Najśw. Panny jako do Bożej Matki przez czułe nabożeństwo do Niej,

widząc w tym dostojność Jej jakby wszechmocność wobec Syna, który jest Bogiem... Ileż szczerego lęku powinno być w naszej duszy, by to specjalne uprzywilejowanie, jakim się cieszymy, nie stało się okazją do tym większej odpowiedzialności im mniej głęboko będziemy przejęci prawdziwą czcią wobec dostojnego tytułu i godności Bogarodzicy.

Zastanówmy się poważnie nad tymi sprawami i myślimy o nich poważnie wtedy, gdy w naszej formułce sodalicyjnego ślubowania odzywamy się słowami: „Święta Mario Bogarodzico Dziewico!”

Dziewico!

Ks. kardynał Faulhaber w jednym ze swych kazań mówi: „Dziś są sztuki i filmy i książki tak pozbawione człowieczeństwa, tak zezwierzęcone, że wobec nich mimo woli trzeba się spytać: czy ludzie karmiący taką karmą syna marnotrawnego własną duszę, nie zaczną pewnego dnia jak zwierzęta chodzić na czterech nogach albo pęzać jak węże w pyle ziemi”.

Powiedzenie to przejmuje grozą, jest straszne, lecz nie można mu się przeciwstawiać. Bo czyż jest na świecie choćby jedna dusza, której by świat nie obluzgał jadem gorszącej zmysłowości? Czy jest taki kąt na ziemi do którego nie dotarłyby syrenie głosy moralnego zepsucia? Czy nie jest prawdą to, co powiedział jeden z francuskich moralistów, że świat dzisiejszy jest moralną pustynią? — Kto tego nie widzi, kto nigdy nie odczuł grozy niebezpieczeństwa, ten albo jest wcielonym aniołem specjalnie przez Boga uprzywilejowanym, albo — co niestety jest bardziej prawdopodobne — został pochłonięty przez brudną falę zmysłowości w pierw, niż zdołał poznać kryształowe źródło czystości.

Lecz jeszcze jest coś innego, co w tej dziedzinie przejmuje nas grozą, co sprawia nam bolesną udrękę, co nas niepokoi i napawa niekiedy bezbrzeżnym smutkiem i wyrzutem — to nasza krew i nerwy, nasza zmysłowa natura. Kto tym faktem nigdy szczerze nie był przerażony, ten niech weźmie do ręki listy św. Pawła i przeczyta słowa owego mocarza ducha, słowa pełne skargi, żalu i łez: - „Nieszczęsny ja człowiek, któż mię wybawi od ciała... Czuję inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi ducha... który mię policzkuje”.

Któż szlachetna dusza z najgłębszych swych głębin nie wysłała w niebo bolesnego i rzewnego jęku, będącego jakby echem słów Pawłowych? Któż dusza nie ogląda się trwożnie i pilnie, a niekiedy nieomal z rozpaczą za jakąś pomocą, za jakąś przyjazną dłonią, która by ją podtrzymała, gdy dobywa ostatnich sił, by nie runąć w przepaść grzechu?...

I oto wobec tego zła od zewnątrz i od wewnątrz w tej spiekocie pustynnej świata i gorączce żądry Kościół święty przedstawia nam obraz wzniosłej Dziewicy, deptającej pył kuli ziemskiej i węża. Głowa Jej wysoko wzniesiona w sferę gwiazd, ręce złożone na piersiach, jakby chciała powiedzieć „Dziecię wieku dwudziestego uwolnij się od pyłu ziemskiego wężowego jadu! Nie rozdieraj brutalnie swymi rękami tajemnic natury! Strzeż poczucia własnej godności i czystości! Spójrz na mnie, rozkochaj się we mnie, a ja zabezpieczę cię od przemożnej natarczywości najpodlejszego wroga! Ja ci zapewnię zwycięstwo!”

Wizję przeczystej Dziewicy Najśw. Panny we własnej duszy pieścił ten, kto w ślubowanie sodalicyjne włożył to czarujące słowo „Dziewico”. Jest ono jękiem zbolącej duszy, jest świętym porywem ducha, wyrrywającego się z pęt ciała, jest wyciąganiem ramion błaganych do stóp Panny Łaskawej i Możliwej, które powtarzamy zawsze, kiedy z przejęciem słowa naszej świętej rotacji wymawiamy.

Bywa niekiedy, że pod wpływem fałszywej opinii zbyt płytkiego ujmowania sprawy nie doceniamy doniosłości faktu, jaki zawiera dziewictwo Najświętszej Panny. A przecież fakt ten stanowi epokę w życiu całej ludzkości, bo stał się epoką przede wszystkim w życiu kobiety. Jak słusznie zauważa Ketter w swym gruntownym dziele „Chrystus a kobiety”: „Kobieta za czasów żydowsko-pogańskich wówczas dopiero zasługiwała na szacunek, jeśli porzuciła stan i nazwisko panińskie, a otrzymała nazwisko nowe, nazwisko męża. I wówczas dopiero była <uwolniona od hańby>, gdy znalazła narzeczonego i mogła zmienić stan paniński na małżeński, z dziecięcia stać się kobietą”.

Dopiero Jezus wprowadził zasadniczą zmianę. Upelnoletnił bowiem kobietę i podźwignął ją z poniżenia w jakim była dotąd pogrążona, uważaną za coś niższego od mężczyzny, postawił ją jako samoistną osobowość moralną obok mężczyzny i na równi z nim... Posiadła bowiem niezależne od mężczyzny pełne prawa obywatelki Królestwa Bożego. - Ale Jezus poszedł dalej jeszcze. Wyniósł troskę o zbawienie duszy do rzędu spraw najważniejszych, wychodząc z tego założenia, że za najwznioślejszy i najdoskonalszy należy uważać stan ten, który ułatwia człowiekowi osiągnięcie najwyższych zadań i celów.

Przeszkodą jest wszystko, co przywiązuje człowieka do rzeczy ziemskich. Małżeństwo zaś domaga się od kobiety już z natury rzeczy pewnego oddania się mężowi. Dlatego słowa Jezusa Chrystusa o dziewictwie należą do idei twórczych, które odnawiają oblicze ziemi.

Tradycja Kościelna nieprzerwana przekazała nam prawdę o ślubie dozgonnej dziewiczości, jaki złożyła Najświętsza Panna w swej pierwszej młodości, a jak zauważa ks. Willam w swej monografii o Najśw. Pannie, tym samym według powszechnie panującego przekonania, również myślała, że rezygnuje z wszelkiego prawdopodobieństwa zostania Matką Mesjasza. Świadczy o tym dobitnie Jej zakłopotanie wobec Archanioła zwiastującego Jej wcielenie Syna Bożego. Wyraz tego zakłopotania dała w swym pytaniu: „Jakoż się to stanie, kiedy męża nie znam?” Tymczasem właśnie ta Jej miłość dziewictwa przysposobiła Ją do tej nieporównanej godności najlepiej, najgłębiej i najsubtelniej.

Wspaniale tę sprawę ujmuje ks. Arcybiskup Prohaszka w jednym ze swych kazań: „Odpowiedź na pytanie Najśw. Panny postawione Archaniołowi jest tylko jedna: niezrównane macierzyństwo dał Jej Ten, który nie odebrał Jej paniństwa. Ten Ją podnosi do macierzyństwa, kto wzniecił w Niej ogień umiłowania czystości. Dzięki paniństwu połączy się z Nim, by Ją uczynić Matką. Dziewictwo Najśw. Panny jest najcudniejszym, najpiękniejszym kwiatem Bożym: wzajemne oddanie się Boga i człowieka. Taka dziewiczość nie jest bezpłodna, jałowa, zrezygnowana, ale jest gorąca i silna miłością, nie jest zimna i obojętna, ale tchnie żarem kochającej duszy, która nie zna rozgoryczenia, ale z zapalem szuka wiecznego oblubieńca. Idealem Jej nie są kapłanki Westy, derwisze czy wyznawcy Molocha, ale św. Agnieszka, Cecylia, Katarzyna — ciałem dziewice, duszą nieskończenie płodnej matki, gdyż taka jest psychologia dziewiczej czystości”.

W tych słowach znakomitego pisarza kościelnego ostatniej doby spotykamy się z jedną wielką prawdą, odnoszącą się do obrony naszej godności ludzkiej przeciw żywiołom ciała i

krwi, wyjaśniającą nam i cel i istotę i możliwość dziewictwa. Dziewictwa, w którym człowiek zwyczajny podąża w ślad za Najśw. Dziewicą — wszystko jedno czy jest kobietą czy mężczyzną. Trzeba mianowicie sercu dać potężny ideał, trzeba wzniecić w nim żar miłości, silniejszy od ognia namiętności, trzeba wolę spotęgować uczuciem szlachetnych umiłowań, by mogła oprzeć się naporowi instynktu i wabiącym głosom świata. Kto nie ma takich ideałów, kto ich szczerze nie kocha aż tak, że gotów jest dla nich uczynić ofiarę z samego siebie, ten albo pograży się w grzechu, albo może być czystym przez jakiś czas dla wyrachowania i oportunisty, czystym w sensie fizjologicznym, ale nie w sensie nadprzyrodzonym i mimo wszystko pozostanie duszą małą. Dlatego św. Augustyn wypowiedział to charakterystyczne zdanie: „Nie to cenimy w dziewicach, że są dziewicami, ale to, że się poświęciły Bogu i w pobożnej wstrzemięźliwości zachowały dziewiczą czystość. Uważam za szczęśliwszą kobietę zamężną od panny spragnionej małżeństwa”. Św. Hieronim analogicznie wyraża się w tej sprawie.

Katolicycy teologowie ujmują tę sprawę całkiem jasno. „Dziewictwo — pisze jeden z nich — w znaczeniu podanym przez Jezusa ma dwa bieguny: negatywny i pozytywny... Biegun negatywny to stan beżenny i czystość wyłącznie cielesna... To dopiero podstawa fizjologiczna do wyższego dziewictwa, w wyższym duchowym znaczeniu. Biegun pozytywny składa się z dwóch czynników: z wyrzeczenia się zaspakajania naturalnych popędów płciowych, które musi być zupełnie dobrowolne, a po drugie ofiara świadomie, dobrowolnie podjęta musi wypływać z nadnaturalnych pobudek. — Istota dziewiczości polega zatem na złożeniu Chrystusowi Panu ofiary z nieskalanego ciała i duszy przejętej miłością Bożą” (Ketter, Chrystus a kobiety, s. 160).

Tak więc miłość Boża jest nie tylko źródłem czystości wszelkiego stanu, ale i nieskalanej dziewiczości. Dziewiczość jest przeniesieniem całej energii i żywiołowej siły, jaka tkwi w tym instynkcie, na poziom nadprzyrodzony dla sprawy dusza, dla sprawy Bożej. Ona, trzeba by powiedzieć, jest największą sublimacją owej sławnej libido, sublimacją, o której daremnie marzył cały freudyzm.

Stąd to w dziewiczym świecie spotykamy się z wyrażeniami zaczerpniętymi ze świata zmysłów, a przecież sięgającymi ducha nieskończonego. Pismo św., tak mówi o Najśw. Maryi Pannie, jakby chodziło o namiętność ziemskiej miłości: „miły mój mnie... zraniłaś serce moje, siostrze ma oblubienico..., oblubienica szuka po górach oblubieńca, bo trawi ją miłość. Kreśli sobie jego obraz, przypomina sobie, jak wygląda oblicze, usta, oczy..., sama jest miłością i szuka miłości... Śladami Najśw. Panny kroczą ścieżkami dziewictwa wspaniałe dusze: Gertruda, której serce jest mieszkaniem Pana: Róża z Limy – róża Pana; św. Elżbieta, której Pan ani na chwilę nie zostawił samej; Teresa, którą tak ukochał, żeby dla niej samej stworzył świat. Oto wszystkie biegną do promiennego Oblubieńca... Co robić, by jak najprędzej dojść do Niego? Rozmawiają i wyrażają się o Nim poufnie, jak np. św. Agnieszka, która mówiła: „Prócz Niego nikogo nie kocham, On przyzdobił mię wieńcem i perłami. Jest słodki jak miód i mleko, Jego krew rumieńcem oblewa moją twarz. Tego jestem, któremu aniołowie usługują”...

W ten sposób samotne „ja” znajduje w Chrystusie, w Bogu swoje „Ty” i jednoczy się z Nim najściślej. I przez tę dziewiczą miłość realizuje się to co powiedział św. Augustyn: „Ci którzy Bogu w ofierze składają dziewictwo, zawarli mimo woli związek małżeński, gdyż biorą udział w zaślubinach całego Kościoła, a oblubieńcem tych godów — Chrystus”.

Oto wyżynne drogi mistycznych związków z Bogiem, mistycznej przyjaźni, mistycznych jakby godów, powstające jak każdy inny naturalny związek z miłości, korzystający również z naturalnej namiętności, lecz jakżeż inaczej niż czyni to świat, niż żąda tego zmysłowa natura ludzka.

„Natura nasza, jak mówi ks. Arcybiskup Prohaszka, składa się z elementu wegetatywnego, Chrystusowego i duchowego, które są sobie nawzajem podporządkowane i żadnemu z nich nie wolno zabijać innego. Ale nie każdego stać na wyższe życie duchowe, nie pozwala na to biologia, organizm, natura... Są jednak dusze, które porywa miłość Boża i które oddają się jej niepodzielnie. Nie przeszkadzajcie im, niech idą za głosem swego upodobania. Nie bójcie się, że orzeł lata wysoko, albo że gołąb pędzi szybciej niż sroka, nie martwcie się nad jaskółką, że udaje się za morza.... Najśw. Panna wskazuje nam duchową drogę i podstawy do życia cnotliwego przez swą promienną miłość. Miłość jest źródłem zapału życiowego i ona zwycięża. Na tle miłości uwydatniają się piękne rysy czystości, zjednoczenia i zespolenia z Bogiem, wzniesieni są ponad popędy cielesne i prawa materii”.

W naszym sodalicyjnym ślubowaniu wywołujemy w naszej duszy dziewiczy obraz Najśw. Panny, by równocześnie wzbudzić tęsknotę do tej miłości, która jest podstawą wszelkiej czystości i dziewiczości. I wszystko jedno, czy dusza nasza do tej pory szybowała wysoko jak orzeł w promiennym locie, którego nie ogarniają nawałnice, szalejące w dole, czyśmy przeżyli kiedyś to co powiedział Goethe tak drastycznie, „że po zmysłowej przyjemności czuje się każdy jak szczur, który zjadł truciznę, obok czaru rozkoszy leży rewolwer rozpaczy”. Wszystko jedno, dziś wrywamy się całym sercem ku tym właśnie jasnemu szlakom panowania ducha nad ciałem.

Chcemy tym odezwaniami się do Najśw. Panny wyrazić naszą głęboką wiarę i zrozumienie, że „Aniołowie Boży otaczają ogród lilii czystej duszy i wołają z podziwem: O jaki piękny jest rodzaj czysty” — i obraz przeciwny który przedstawił Psalmista: „Staje się noc i włóczę się w niej wszystkie zwierzęta”. — Przez noc grzechu niewiary, zwierzę dochodzi w człowieku do głosu. Wyrażamy nasze głębokie przekonanie, że lilie powinny kwitnąć nie tylko w zaciszu murów klasztornych. „Lilie polne” powinny unosić ciepłe i ożywcze tchnienie nadprzyrodzonego w zimne i bezduszne poczynania świata. W tym bowiem spojrzeniu na postać Najśw. Dziewicy uczymy się czci wobec każdej kobiety i każdego dziewczęcia. To są siostry Matki Bożej nawet wtedy, jak mówi ks. kard. Faulhaber, gdyby same nie znały swej godności. Owszem gdyby nawet zapoznały tę godność w swym ubiorze i postępowaniu!

Więc miejmy głęboką nadzieję, że ta Przejrzysta zrozumie tęsknotę naszego serca i swą najdelikatniejszą dłonią pielęgnować będzie lilijną białość naszej czystości, czy naszego dziewictwa i nie pozwoli na zatracenie w nas pierwiastka anielskiego, mimo największych trudności. Oddajmy się Jej miłośnie jako najwierniejszej strażniczce naszej czystości duszy i ciała, by być najbliżej Niej na wieki.

„Ja”...

Wśród tysięcy słów jakimi posługujemy się w naszym życiu codziennym jest jedno, które w przeróżnych odmianach powtarza i wraca uporczywie we wszystkich naszych rozmowach,

we wszystkich naszych odezwaniach się do ludzi, którym posługuje się każdy zarówno najprostszy jak i najgłębiej wykształcony i wyrobiony człowiek. Jest jedno słowo, z którym zrosła się jakby dusza nasza, w które układamy swój najgłębszy sentyment, które jest wyrazem naszego najżywszego zainteresowania, — słowo przeważnie w swej fonetycznej rozciągłości małe, krótkie, niepozorne, a jednak zawierające w sobie całą treść życia naszego, to jest to słowo, „którym odzywamy się w naszym sodalicyjnym ślubowaniu do Matki Najśw. słowo „ja”.

I nic w tym dziwnego, jesteście przecież indywidualnością, jesteście sobą, mamy swoje ciało, swoją duszę, mamy swe własne życie i swe własne przeżycia zarówno duchowe jak i fizyczne, zarówno w porządku przyrodzonym jak i nadprzyrodzonym. Posiadamy codziennie nieprzeliczone szeregi świadomych aktów swej indywidualności, a jeszcze więcej momentów nie objętych naszą świadomością, a może nawet niedostępnych dla tej świadomości, które jednakowoż stanowią konstytucyjną czy uzupełniającą całość naszej indywidualności i naszego „ja”. Wszystko bowiem to, czym jesteście, co przeżywamy, do czego dążymy wysiłkiem zarówno w porządku przyrodzonym jak i nadprzyrodzonym wszystko to jest właśnie nie czym innym, ale naszym osobistym ja, mieści się w tym słowie. I choćby to słowo było tak krótkie jak w niektórych językach, jak np. w języku angielskim, gdzie wyraża się je po prostu jedną literą – I — to w rzeczywistości zawiera ono przebogatą treść całej naszej indywidualności łącznie ze wszystkimi najwznioślejszymi zamiarami Pana Boga względem nas.

Tak bowiem trzeba powiedzieć, że naszym „ja” interesował się od wieków sam Pan Bóg, skoro je właśnie stworzył i indywidualnością obdarzył, że dlatego dał nam samopoczucie tak głębokie, tak z naszą naturą zrosnięte i z naszej indywidualności wypływające, byśmy nim sami przede wszystkim zainteresowali się, a w tym zainteresowaniu realizowali najwyższe zamierzenia Boskie względem naszego „ja”. Przypominamy sobie ten osobliwy szczegół, kiedy Chrystus Pan w przykazaniu o miłości bliźniego powiada wręcz: „Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”, czyli po prostu jak swoje własne ja. Cóż zatem dziwnego, że zarówno z naturalnej konieczności jak i z refleksyjnego poczucia obowiązku człowiek o tym ja nie tylko myśli, ale i mówi. Cóż dziwnego, że myśli o nim często wszędzie, że myśli serdecznie i żywo, że myśli wytrwale i skutecznie. I nic dziwnego, że pod wpływem tej ciągłej myśli, to słowo ja raz po raz wypada z ust naszych i krzyżuje się w powietrzu z innymi ja, o których mówią inne usta.

Ale nie trudno jest zauważyć, że to powtarzanie odmienianie przez wszystkie siedem przypadków słowa ja staje się często dla otoczenia nużące i przykre, a niekiedy wywołuje wprost obrzydzenie w innych. Zdawać by się mogło, że niesłusznie, boć skoro to słowo tak bardzo jest nasze jak my jesteście sobą, to równie trudno pozbyć się go w mowie, jak niemożliwe pozbawić się swej własnej osobowości i indywidualności. Jednakowoż są pewne racje tłumaczące niechęć innych wobec przepełnionej atmosfery każdej ludzkiej mowy owym słowem. Pierwszą racją jest właśnie to, że każde ja chciałoby znaleźć, jeśli tak można powiedzieć, w atmosferze, a więc w ludzkiej myśli, w ludzkim sercu i po prostu na świecie trochę miejsca dla siebie. Więc czuje się niekiedy słusznie, innym razem niesłusznie, zagrożone czy urażone, że inne ja zasłania je, ogranicza, spycha w ciemny kąt. Racja ta, jak łatwo się domyślić, może mieć w pewnych warunkach całkowicie swoje uzasadnienie i powinna doczekać się pewnego respektu. Kiedy indziej jest tego uzasadnienia pozbawiona, więc może też nie być respektowaną.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę osoby poważne, osoby życzliwie usposobione dla indywidualności drugich, więc dla tego ja z naprzeciwka, to jednakowoż również możemy zauważyć, że osoby te wobec cudzego ja, a może konkretnie wobec ja naszego, tylokrotnie powtarzanego i odmienianego w naszych rozmowach i opowiadaniach, mają pewne zastrzeżenia. Dzieje się tak przeważnie dlatego, że w to ja wkładamy inną treść, niż ono w rzeczywistości posiada, że przypisujemy mu coś, co do niego nie należy, względnie należeć nie powinno, i to zarówno jak chodzi o naszą terażniejszość, przeszłość czy przyszłość. Kiedy to ja z jakichkolwiek względów umie opowiadać o sobie dzieje i rzeczy, które nie miały miejsca, by w ten sposób pozą lub błagą nadać wartość swemu ja, każdy rozsądny czuje mimowolną niechęć do tego przesadnego ja. Kiedy w nieszczeroci wypowiadamy sądy i uczucia niezgodne z naszym zapatrywaniem i skądinąd znaną opinią, byle tylko w dobrym świetle przedstawić nasze ja, przysłaniamy je mimo swych zamiarów chmurami niechęci ze strony innych. Kiedy wreszcie dajemy wyraz ambicjom i zamiarom na przyszłość, które nie są proporcjonalne ani do naszych wartości ani do zewnętrznych możliwości, wtedy znowu inne ja z pewną obawą i niechęcią ocenia te występy. Może się jednakże zdarzyć wręcz przeciwnie, że właśnie obce ja będzie miało te wszystkie nieszczeroci i dlatego wobec naszego ja będzie miało nie tylko zastrzeżenia, ale i daleko posunięte wrogie usposobienie, a więc kiedy mówimy o naszym ja, w takim razie zechcemy przyjrzeć się temu przede wszystkim, co w naszym ja może być nieprzyjemne, rażące, drażniące bliźnich, gdyż niewątpliwie w tych wypadkach może być jakaś podstawa do zrewidowania swoich własnych zapatrywań na własne ja.

Z jakim to bowiem ja stajemy w naszym sodalicyjnym ślubowaniu wobec Najświętszej Bogarodzicy? Stajemy z tym, co posiadamy, stajemy takimi jakimi jesteśmy. A jeśli tak zastanowimy się chwilę nad tym własnym ja, które wszędzie w mowie i wśród ludzi chce znaleźć dla siebie miejsce, to czymże ono jest? Czym chcemy zwrócić uwagę bliźnich na nasze ja?

Wystarczy rzucić okiem na otaczający nas rodzaj ludzki, by się przekonać jak jedni szlifami, ubraniem, kapeluszem i fryzurą chcą koniecznie zainteresować swoim ja innych. Wystarczy posłuchać przygodnej rozmowy jak niepozorne fakty, wypieszczone przez takie czy inne ja, urastają do miary poświęcenia, bohaterstwa, zasługi i dopraszają się nie zasłużonego uznania i nagrody. Pomyślmy, ile razy zdarzyło się nam w naszym życiu posługiwać się tego rodzaju pozami, byle tylko to nasze ja stało się widoczne, byle zwróciło uwagę, innych na nas, byle tylko odpowiednią kolorystyką udało się zasłonić braki i pustki tkwiące w naszym ja.

Pomyślmy tylko solidnie nad tym, by przecież w tym momencie, kiedy odzywamy się do Matki Najświętszej nie było żadnej pozy, ani cienia błagi, lecz całkowita szczeroci, prawdziwie naga prawda dotycząca naszego ja. Owszem niech nam staną przed oczyma wszystkie nasze naturalne zdolności i przymioty ciała i ducha, lecz również niech tej świadomości towarzyszy prawdziwa odpowiedź na pytanie, ile to w naszym życiu zmarnowaliśmy naszych talentów naturalnych, ile zdolności nie wyzyskaliśmy, jak dziś nie widzimy już żadnej możliwości nadrobienia zaniedbanych chwil i zmarnotrawionych zdolności. Przypomnijmy sobie nasze stosunki z ludźmi od wczesnego dzieciństwa, od tych chwil, kiedy wokół nas były serca wyłącznie nam oddane i przypomnijmy sobie, czym było wobec nich to nasze ja. Czym było to ja względem rodziców i rodzeństwa, czym ono było wobec kolegów i koleżanek, wobec sąsiadów i krewnych, względem starszych i przełożonych, względem rówieśników i poddanych. Czyż nie przejmie nas jakby groza lęku wobec tych licznych zobowiązań, jakieśmy zaciągnęli, dzięki dobrodziejstwom ze strony

innych, zobowiązań nie wyrównanych i raz na zawsze minionych sposobności do wyrównania.

A jeśli w tych sprawach zewnętrznych i w porządku naturalnym nie trudno dostrzec nam tyle różnych niedociągnięć, braków i poważnych win obciążających nasze ja, to cóż dopiero, jeżeli zechcemy zwrócić uwagę na wartości naszego ja w perspektywie nadprzyrodzoności. Jakżeby to nasze ja wyglądało gdyby chciało współpracować stale z uprzedzającą Bożą łaską uczynkową? Ileż dni w życiu naszym liczymy takich, w których z najspokojniejszym sumieniem moglibyśmy o sobie powiedzieć, żeśmy nie zmarnowali żadnej łaski, ani żadnego dobrego natchnienia? A może nawet wręcz przypominamy sobie jakby pozytywne przeciwdziałanie i sprzeciwianie się woli Bożej, które po prostu było grzechem, grzesznym zapominaniem o Bogu, trwaniem w grzechu i powtarzaniem tego grzechu. Spójrzmy na życie, na własne ja z tego stanowiska nadprzyrodzonego jakby na rozległy horyzont otaczający nas w koło albo na daleką przestrzeń drogi naszego żywota, któreśmy dotąd odmierzyli. Popatrzmy się ile na tej przestrzeni jest odcinków i połączeń świecących pustką zaniedbanych ugorów albo przerażającymi ruinami i zgłiszczami zła, spowodowanego naszą lekkomyślną wolą. To jesteśmy my! To jest nasze ja! Nasze ja ubogie, a może bardzo a bardzo zbankrutowane.

Czy wobec tego moglibyśmy się odważyć na jakąś pozę względem Matki Najśw., mówiąc do Niej i prezentując Jej niejako nasze ja? Chyba nie! To też w formułce ślubowania Sodalicji męskich po tym słowie spotykamy takie głęboko pokorne wyrażenie „lubo najniegodniejszy Twej służby”. Chciałoby się niemal powiedzieć to, co niewątpliwie odruchowo się odczuwa: zali może takie nędzne ja zbliżyć się do największej świętości Bogarodzicy Dziewicy, odzywać się do Niej z całą szczerością i zaufaniem? Chyba nie u ołtarza, ale gdzieś jak ów ewangeliczny celnik w ciemnym kącie świątyni Pańskiej, na jej progu powinno klęczeć to nasze ja i bić się w piersi w poczuciu własnej winy i odpowiedzialności.

Ale nie! Mimo tych wszystkich przewin i mimo nędzy całej, nędzy naszego ja, owszem właśnie dla naszych przewin zbliżamy się do Najświętszej Panny, o której wiemy, że jest Matką Odkupiciela. Jest Matką Tego, który przyszedł szukać tego, co było zginęło, dawać życie i dawać je w obfitości, przyszedł niecić ogień w ludzkich sercach i czeka na to, by ten ogień zapłonął.

Jest Matką na to, by nam Swym wstawiennictwem i Swą macierzyńską dobrocią zjednać przebaczenie win, by wesprzeć naszą dobrą wolę. Jest Bożą i naszą Matką, czyli tą istotą, która Swoje dziecię zmarnowane życiem i drogą, zdrożone aż do upadłego, sponiewierane własną i świata złością chce przygarnąć do Swego serca, by ze znojnego czoła otrzeć pot i pył, by odziać duszę w dostojęstwa Bożego szaty, a sercu dać głęboki pokój w przystani.

Niech więc szczerość i prawda w sądzie o naszym ja będzie nam okazją zarówno do naszej głębokiej pokory, jak i do serdecznej wdzięczności za to, na co tą głęboką pokorą zasłużymy sobie wobec Najświętszej Panny i Boga.

Obieram sobie Ciebie

To, co nadaje szczególniejszy walor naszemu ślubowaniu sodalicyjnemu, tkwi w słowach: „Obieram sobie Ciebie”. Wiadomo bowiem, że do tego aby jakiś akt religijny mógł mieć wartość zasługującą, musi być aktem refleksyjnym, uczynionym z zastanowieniem i w pełnej wolnej woli. I w tych słowach wyrażamy tę naszą refleksyjną świadomość i całą dobrą wolę. Oświadczamy wręcz, że obieramy sobie Matkę Najświętszą za Panią itd.

Cóż tkwi w pojęciu wyboru? Przede wszystkim ze strony rzeczywistości musi być wielkość wartości; tam bowiem, gdzie w grę wchodzi tylko jeden przedmiot, dokąd prowadzi tylko jedna droga, albo jedyna pozostaje możliwość, tam nie może być mowy o wyborze. A skoro wypowiadamy to słowo, że obieramy sobie Matkę Najśw., to w takim razie muszą być jeszcze inne wartości nieobojętne w ogóle dla człowieka i dla nas, i dostępne dla nas, by można było wybór skutecznie. Istotnie nie możemy zaprzeczyć, że obok dobra nadprzyrodzonego stoi przed człowiekiem każdą wielkość dóbr przyrodzonych, obok wartości materialnych są wartości duchowe. Wiemy o tym, że w porządku nadprzyrodzonym i w całym systemie katolickim są też różnego rodzaju wartości i dobra nadprzyrodzone, dostępne dla nas i w ogóle dla człowieka.

Żeby jednak wyboru dokonać, trzeba te wartości w jakiś sposób poznać, ocenić je, oszacować i dopiero na tej podstawie powziąć decyzję, która jest trzecim i najważniejszym warunkiem i istotą wyboru. Jeżeli więc w naszej rocie ślubowania oświadczamy, że obieramy sobie Najśw. Pannę za Matkę to w takim razie tym samym deklarujemy, że spośród tych wielu wartości, z którymi w życiu mieliśmy możność już się spotkać i których wagę mogliśmy ocenić, wybieramy oto Ją, że do Niej kierujemy naszą wolę, że ku Niej lgnie nasze serce.

Ważkie słowa i wielka ich treść. Nie trzeba być byt bystrym obserwatorem, ani subtelnym psychologiem, by się przekonać, jak w rzeczywistości do duszy naszej pchają się mimo wszystko na pierwszym miejscu wartości materialne. Jest prawem naszego poznania, że niczego nie ma w duszy naszej, czego by wprawdzie nie było w jakiś sposób w naszym zmyśle. Dostojeństwem człowieka jest to, że wartości materialne, czyniące wrażenie na zmysły, potrafi uduchowić żeby tak powiedzieć, sublimować, i nadawać im wartości moralne. Lecz i tragedia ludzka w tym tkwi, że w tych wartościach materialnych potrafi człowiek pograżyć swoją duszę i zaprzedać ją wraz z wolą i z własnym szczęściem. Niebezpieczeństwo jest wielkie, a tkwi ono w tym, że z jednej strony te wartości materialne przelicytowują się wzajemnie i pchają się tłumnie, jak by *parforce* do naszej świadomości, w której czekają na nie nasze różnego rodzaju zmysłowe popędy i pożądania, również licytujące się i wyprzedzające w zaspokojeniu własnego głosu.

A oprócz tego roju, uderzającego na naszą duszę od świata materialnego i od naszych fizycznych skłonności, jest również wielka chmura niebezpieczeństw i pokus płynących zarówno od naszego rozumu, protestującego przeciw wszelkiej niejasności, choćby ona była powodowana nieskończonością i doskonałością samego Boga i bezmiarem ludzkiego szczęścia, — pokus płynących i od naszej woli, jakże często niestałej, ociążałej i zbyt słabej.

Kto mówi, że obiera sobie Najśw. Marię Pannę, ten nie tylko wyraża jakąś pobożną myśl, iż wśród wielu nabożeństw i religijnych praktyk wybiera Matkę Najśw. i nabożeństwo do Niej, jako dla siebie najodpowiedniejszy sposób i środek zbawienia i doskonalenia się, kto w ślubowaniu sodalicyjnym wypowiada te słowa, ten nie tylko oświadcza, że prócz czy ponad inne organizacje religijne i katolickie ceni sodalicyjne życie, ale ten wypowiada w sposób domniemany, znane zresztą może tylko jemu i Bogu własne przeżycia. W słowach tych wypowiada dusza nasza może te straszne tragedie, które są udziałem niejednego ludzkiego

żywota, kiedy to człowiek wszystkie swe siły, marzenia i tęsknoty poświęca dla jednego dobra, wszystko jedno materialnego czy duchowego, ale w porządku przyrodzonym, by niebawem po jego zdobyciu przekonać się, że to wszystko nie warte było trudu, że serca jego w żadnym stopniu zaspokoić nie mogło. Zawody i straty, klęski i sukcesy, upadki i przemijające szybko radości, płynące z takich czy innych wartości znikomych, oto podstawa do wypowiedzenia tego ważkiego słowa: „obieram sobie Ciebie”.

Obieram sobie spośród wielu dóbr, jakimi raczy mię świat i życie, ludzie i bezrozumna przyroda, opinia czy materia, spośród dóbr, do których pcha mię cała moja natura wkorzeniona w świat i przyrodzone dobra, i spośród nieprzeliczonych dóbr życia nadprzyrodzonego — ceniąc ich ogromną wagę i doniosłość dla mego indywidualnego życia — obieram sobie jednak Ciebie Matkę Bożą za swoją Matkę. Oto prawda zawarta w tych słowach, prawda, w której musi być moja praca, lecz obok niej i natchnienie łaski Bożej.

Tak bowiem trzeba patrzeć na naszą decyzję, że racją jej jest nie tylko fakt istnienia wielości dóbr i nasz dobrowolny między nimi wybór, ale że specjalne naświetlenie Bożego tchnienia dało nam możliwość oceniania słusznie tej wartości, jaka tkwi w przedmiocie nabożeństwa do Najśw. Panny i w życiu sodalicyjnym. Być może, że to Boże natchnienie szło jakby drogami przypadku, że ktoś właśnie z naszych znajomych mimo woli wspomniał o Sodalicyj, że przygodnie byliśmy świadkami jakiejś sodalicyjnej uroczystości albo pracy. Być może, że takie na pozór drobne szczegóły, otworzyły nam oczy na to dobro nadprzyrodzone, o którym zresztą wiedzieliśmy już przedtem, które jednakowoż dotąd ani nas nie pociągało, ani nam nie imponowało, bo jeszcze inne dobra do nas silniej przemawiały i bardziej władaly naszym sercem. Choćby nawet ktoś był świadom, że do Sodalicyj i uroczystego aktu ślubowania doprowadziły go właśnie tego rodzaju przypadkowe okoliczności, to jednak wierzyć nie tylko można, ale i trzeba, że o ile z naszego czysto ludzkiego stanowiska szczegóły te mogą mieć pozory wszelkiego przypadku, to w całym systemie Opatrzności Boskiej względem nas przypadkiem nie były. Warto o tym wiedzieć, aby może z pewnej odległości od tych momentów, wpływających tak bardzo na naszą decyzję, umieć je odpowiednio ocenić i chcieć za nie dobroci Bożej serdecznie podziękować.

Kiedy zaś wiemy, że w słowach powyższych wyraża naszą decyzję, to trzeba zdać sobie dobrze sprawę z jej walorów. Wszystko bowiem, co dotyczy godności Matki Najśw. i obiektywnej wartości nabożeństwa do Najśw. Panny i zasług sodalicyjnych zespołów przez długie, dzieje ich istnienia, obejmuje ta właśnie decyzja. Im lepiej ocenimy te obiektywne wartości, tym głębiej zrozumiemy i ocenimy wartość naszej decyzji. Cóżby bowiem znaczyło, że i w życiu nadprzyrodzonym nabożeństwo do Matki Najśw. odgrywa tak niesłychanie doniosłą rolę, gdybyśmy sami nie byli o tym przeświadczeni i sami według tego przeświadczenia nie żyli? Dlatego w tym słowie musi być zawarta również wartość subiektywna, osobistego przekonania i stanowczej woli, skierowanej raz na zawsze w stronę Matki Najśw. i nabożeństwa ku Niej. Dlatego też, ilekroć powtarzamy ważne słowa naszego sodalicyjnego ślubowania, wtedy zawsze wola nasza powinna krzepnąć, na nowo się podniecać, wypowiadać stanowczo swą trwałą decyzję najszcześniejszego obioru.

Wiemy co prawda na podstawie doświadczenia, że nasze różnego rodzaju wybory i obierania mimo poważnych zastanowień mają niekiedy fatalne następstwa i stanowią mniej lub więcej tragiczne życiowe pomyłki. Źle jest, jeśli ktoś popełni omyłkę, wybierając przy kupnie niewłaściwy przedmiot. Gorzej, gdy np. przy wyborze przedstawiciela społeczeństwa do izb parlamentarnych odda się głos na człowieka niegodnego zaufania, jeszcze gorzej, gdy ktoś publicznie w kościele oświadcza, że wybiera sobie tego lub tę za małżonka lub

małżonkę, chociaż zupełnie sobie nie odpowiadają. Więc mimo wyboru można narazić się na smutne następstwa, mimo wyboru można konsekwencje boleśnie przeżywać całe życie.

I w naszym wyborze może zająć jedna pomyłka, tkwiąca nie w tym jakoby wartość przedmiotowa nabożeństwa do Matki Najśw. i sodalicyjnego życia oraz pracy zawierały coś mniej dobrego albo niedobrego dla nas, ale jedynie w tym, że nie dość doceniamy wartość zarówno obiektywną jak i subiektywną naszego wyboru. W tym jedynie tkwi prawdziwe niebezpieczeństwo, że ta nasza decyzja, która w pierwszej chwili posiadała zawsze tyle radosnej mocy, może pod wpływem naszych zaniedbań, niekiedy bardzo niepozornych, stracić cały swój urok do tego stopnia, że aż zacznie wydawać się nam niewłaściwa. Tym tylko można tłumaczyć, że członkowie Sodalicyj niekiedy dochodzą do tak tragicznego wniosku, iż popełnili omyłkę wypowiadając decyzję wyboru Matki Najśw. i życia sodalicyjnego i odwołują ją przez występowanie z sodalicyjnych szeregów.

Wiedzmy o tym, że pociągające blaski życia sodalicyjnego mogą stracić ten swój urok pierwsza to zarówno z naszej winy, jak i z zamierzenia Bożego. Wszak Pan Bóg wszystkie dusze, które chce pociągnąć ku wyżynom doskonałości doświadcza i w ten sposób, że oddala się od nich ze Swymi pociechami, by w utrudzeniu i bez względu na swoje miłe przeżycia szukały jedynie prawdy i świętości, dlatego jedynie, że Bóg tak chce. Więc i w sodalicyjnym życiu musimy być gotowi na to, że promienne blaski życia sodalicyjnego będą nam przygasały, lecz nie po to, byśmy stracili dla nich szacunek i miłość, ale po to, by własnym wysiłkiem utwierdzić w duszy to, co przedtem bez naszej pracy wprowadziła Boża dobroć i łaska.

Dlatego też słowa powyższe: „Obieram sobie Ciebie”, powinny być dla nas okazją do rachunku sumienia, o ile ta nasza decyzja jest równie silna dziś, jak była w pierwszej chwili. Czy w niej nie ma już przypadkiem jakichś odchyień, czy ona w nas potęguje się i coraz bardziej staje się skuteczna i wpływająca na całokształt naszego życia nadprzyrodzonego.

Z tych kilku uwag wnosić możemy, jak poważne to są słowa i jak wiele odpowiedzialności bierzemy przez nie wobec, własnego sumienia.

Swego czasu Chrystus Pan do Apostołów powiedział te wielkie słowa: „Nie wyście mnie wybrali, ale ja was wybrałem, abyście szli i owoc przynosili i aby owoc wasz trwał”. Istotnie, kiedy czytamy opowiadania ewangeliczne o powołaniu Apostołów, widzimy wyraźnie, jak Chrystus Pan w ten czy inny sposób wzywał ich, by szli za Nim. My w naszym sodalicyjnym ślubowaniu wypowiadamy więcej naszej osobistej decyzji, lecz przez to, jak już zauważyliśmy, nie wyrzekamy się Bożej ingerencji na tę decyzję. I na pewno nikt z nas nie potrafi stanowczo powiedzieć, jak dalece i w jakiej mierze czynnik nadprzyrodzony łączył się z jego świadomymi aktami woli w sprawie sodalicyjnego życia. Wobec tego tym więcej nasze sodalicyjne powołanie i życie musi wymagać z naszej strony ostrożności i szacunku, im więcej w nim jest uprzedzające Bożej dobroci. Lecz tym nie mniej powinniśmy z całą świadomością i męską decyzją podtrzymywać swą szlachetną wolę, że Matka Najśw. jest naszym umiłowaniem, żeśmy Ją sobie wybrali.

Obieram... za moją Panią

Kiedy człowiek jest podniecony szlachetnym uczuciem, kiedy jest rozmiłowany w jakimś przedmiocie czy osobie, wówczas skłonny jest do wypowiedzania wielu pochlebnych słów o przedmiocie swego umiłowania. Tak samo i w modlitwie i w stosunku naszym do świętości. W chwilach jakby modlitewnego entuzjazmu, przychodzą nam łatwiej słowa, którym chcemy uczcić świętość, przed którą się korzimy. Ale w ludzkim życiu bywa, że słowa pochlebne nie zawsze odpowiadają prawdzie, że zawierają przesadę, że niekiedy bywają stosowane do przedmiotów i osób umiłowanych bez dostatecznie uzasadnionego sensu i znaczenia. Owszem być może i nawet bywa nieraz, że i w naszych modlitwach wypowiedzamy słowa, których treścią albo się nie przejmujemy, których treści nie doceniamy, gdyż po prostu nie rozumiemy jej odpowiednio.

Oto w naszym ślubowaniu sodalicyjnym odzywamy się do Matki Najśw., że obieramy Ją za naszą Panią, Orędowniczkę, Patronkę i Matkę. Są to niewątpliwie słowa entuzjazmu duszy, miłującej Matkę Najśw., wypowiedziane przez osobę świętą, które w naszym oddaniu się Matce Najśw. podejmujemy i powtarzamy. Chodzi więc o to, by te słowa nie były tylko pustym dźwiękiem, ale by dla nas zawierały głęboką treść, która z jednej strony przedstawia nam w różnych jeśli tak rzecz można, barwach piękność Matki Najśw., a z drugiej w duszy naszej wywołuje specjalne tony czci, hołdu i nabożeństwa do Matki Najśw.

Z góry można powiedzieć, że skoro słowa te formułą ślubowania sodalicyjnego wypowiedziała osoba święta, to nie wstawiła ich bez sensu, bez znaczenia, a jeśli tak jest, to w takim razie powinniśmy się starać to samo znaczenie nadać tym słowom i zrozumieć, co one mówią o Najśw. Pannie, jak one przemawiają i przemawiać powinny do nas, co one o nas samych mówią. Dlatego im na pozór krótsze i powszechnie znane są słowa, którymi odzywamy się do Matki Najświętszej, tym głębiej powinniśmy się nad nimi zastanowić, aby tym wyżej je ocenić.

„Obieramy sobie Matkę Najśw. za Panią”. Cóż znaczy to słowo w odniesieniu do Matki Najśw.? Jaka jest jego treść, czym my jesteśmy wobec tego tytułu względem Najśw. Panny?

Zarówno z Pisma św. jak i z powszechnego użycia w kościele katolickim wiemy, że Boga nazywa się Panem. Nie dziwi nas ten tytuł wcale, bo jeśli tytuł ten oznacza jakieś władztwo, jeśli tytuł ten przysługuje właścicielowi w stosunku do przedmiotu posiadanego, to w takim razie najwłaściwszym i najistotniejszym Panem w stosunku do wszystkich rzeczy, do całego świata i człowieka jest Bóg. Bożą własnością jest stworzenie mocą nieograniczonej Jego twórczości, wywołującej z nicości wszystko. Dlatego Bóg jest władcą i Panem pierwszym i ostatecznym i nieograniczony chyba własną wolą w stosunku do całości stworzeń. Wiemy również z objawienia Bożego, jak nie mniej i powszechnego zwyczaju Kościoła św., że Jezusa Chrystusa również nazywa się Panem i że tym Panem w sensie najgłębszym Jezus Chrystus jest. Tytułem zaś tego władztwa Jezusa Chrystusa nad ludzkością jest nie tylko metafizyczny fakt, że dzieło stworzenia jest dziełem trzech Osób Boskich, ale jeszcze szczególniejszy fakt, posiadający znaczenie prawne, fakt jakby nadprzyrodzonego kontraktu, mocą którego Jezus Chrystus nabył nas krwią Swoją. Św. Paweł wielokrotnie w swych listach podkreśla ten szczegół i zaznacza, że odkupieniem Jezus Chrystus nabył panowanie nad całą ludzkością.

Lecz skąd i dlaczego i w jakim znaczeniu możemy nazywać Najśw. Pannę naszą Panią? Do zrozumienia jego prawa doprowadzi nas Jej stanowisko w dziele powszechnego Odkupienia i w dziele zbawienia każdej indywidualnej duszy. Nie obce są nam tego rodzaju wrażenia, że Matka Najśw., jest Współodkupicielką z Jezusem Chrystusem rodzaju

ludzkiego. To Współodkupienie nie polega w swej istocie na tym, jak się niekiedy sądzi, iż Matka Najśw. odbyła wraz z Chrystusem drogę krzyżową i do Jego cierpień przykładała Swe matczyne bóle i cierpienia, ale przede wszystkim na tym, iż Ona wolą Swoją zdecydowała o Wcieleniu Syna Bożego, o Swym macierzyństwie. I tak jak Wcielenie Syna Bożego dokonane mogło być poprzez wolę nieskończonej dobrej drugiej Osoby Boskiej, która chciała zstąpić na ludzki padół, a odkupienie dokonało się dzięki wolnemu aktowi woli ludzkiej Jezusa Chrystusa, wskutek czego natura ludzka w osobie Boskiej mogła dokonać i dokonała aktu nieskończonej zasługi, tak wolna wola Matki Najśw. stała się i była przez swe „fiat” warunkiem dokonania aktu miłosierdzia nieskończonego Boga i aktu Odkupienia przez Jezusa Chrystusa.

Jeżeli władztwo i panowanie Jezusa Chrystusa opiera się specjalnie na dziele Odkupienia i jeżeli Matka Najśw. w tym dziele odegrała tak zasadniczą rolę, to w takim razie możemy zupełnie słusznie uczcić Ją tytułem Pani i widzieć w niej panowanie nad całym światem, współwładztwo z Jezusem Chrystusem w tym znaczeniu i w tym stopniu, jak jest Współodkupicielką.

Władanie to pogłębia się i jego znaczenie staje się dla nas bardziej oczywiste, jeżeli uwzględnimy i tę wiarę powszechną Kościoła, że łaska Boska do każdego indywidualnego serca dostaje się za pośrednictwem Najśw. Mani Panny. Jeśli Ona jest Panią łaski Bożej, to jest Panią i tych, którzy żyją Bożą łaską i z łaski Bożej.

Jakież konsekwencje wynikają z tego tytułu Matki Najśw.? Kim powinniśmy być w stosunku do Niej, jeśli ona jest naszą Panią? Ustawodawstwo rzymskie ujęło w specjalną formułkę zakres władzy właściciela, pana w stosunku do przedmiotu własności, podwładnych.

Rzymski pan mógł własności swojej używać i nadużywać, *uti et abuti*. Wszystko jedno, czy to była rzecz martwa, czy żywa, istota rozumna, czy nierozumna, prawo rzymskie widziało własność panowania w jego nieograniczoności. Z czasem dopiero prawo to ograniczano w stosunku do osób, a następnie ograniczono je nawet w stosunku do rzeczy. Możemy się domyślać, że rzymskie pojęcia w istocie swojej były słuszne, ale o tyle sfalszowane, że nieograniczone władztwo wobec rzeczy i osób może mieć tylko najwyższy pan — Bóg. Obecnie rozumiemy panowanie, czyli stosunek pana do sługi, przede wszystkim jako władztwo nad wolą człowieka. Ten, kto jest panem, ma prawo wytyczać człowiekowi i jego woli pewne drogi, na prawo wydać obowiązujące go rozkazy i polecenia. I chociaż Boże panowanie rozciąga się nad całą ludzką naturą i ciałem, i duszą, i obejmuje wszystkie szczegóły natury ludzkiej, to jednak przede wszystkim występuje tam, gdzie żąda od Woli ludzkiej zastosowania się do norm Boskich przykazań, poleceń i natchnień Bożej łaski.

Lecz i tutaj napotykamy na specjalną trudność. Wiemy pozytywnie z objawienia Bożego Starego i Nowego Testamentu, że Bóg to swoje władztwo zaznaczał, ustanawiając normy ludzkiego działania w różnego rodzaju przykazaniach. Czyż jednak możemy napotkać jakiś ślad tego, żeby Matka Najśw. jako Pani zaznaczała w jakikolwiek sposób ten swój władczy przymiot, żeby cokolwiek rozkazała ludzkości, wiernym, albo indywidualnemu człowiekowi? A jednak mimo pozornej trudności możemy wykazać że Ona w stosunku do nas wydała i wydaje wciąż swoje władcze rozkazy, że zaznacza swoje panowanie w stosunku do naszej wolnej woli.

Przede wszystkim musimy sobie uprzytomnić, że Matka Najśw. Swą wolą obejmuje najdoskonalej wolę Bożą. Boża wola jest Jej wolą, Boży rozkaz jest wskutek tego Jej rozkazaniem. I jak w momencie zwiastowania swoim pokornym „fiat” wypowiedziała całkowicie duszę swoją i oddanie własnej woli na usługi woli Bożej, tak w dalszym ciągu Jej wolą, Jej jakby rozkazem jest pełnienie woli Bożej przez wszystkie stworzenia, a w szczególności przez człowieka.

Mamy zresztą pod tym względem wyrażenie Jej autentyczne, które jest ostatnim słowem Matki Najśw., zanotowanym na kartach Ewangelii i stać się musi hasłem życia wszystkich czcicieli Matki Najśw., wszystkich, którzy w jakimkolwiek stopniu Jej macierzyńskiej interwencji używać będą w stosunku do Boga. „Cokolwiek rozkaże wam, czyńcie”, oto pierwsze słowa, jakie wypowiada Maryja do ludzi, kiedy na Jej pośrednictwo Syn Boży ma dla ich dobra dokonać pierwszego cudu podczas godów w Kanie Galilejskiej. Oto Jej niezłomna wola, Jej generalny rozkaz w stosunku do wszystkich wiernych. Wola Boska w stosunku do nas zarówno w ogólnych przykazaniach jak w naszych szczegółowych obowiązkach zawodu i stanu, jak wreszcie wola Boska przemawiająca do nas natchnieniem łaski jest Jej władczą wolą. W rzeczywistości zatem nie możemy się spodziewać, ani nie możemy się niepokoić, żeby Matka Najśw. żądała od nas jeszcze czegoś szczególnego, żeby wydawała nam specjalne jakowe polecenia z tej racji, że Ją świadomie i z przekonaniem mamy za swą Panią i że Jej oddajemy się jako słudzy.

Mimo to jednak nie można powiedzieć, że w takim razie to dostojęństwo Matki Najśw. i uznanie go z naszej strony jest bez znaczenia. Przeciwnie — w zrozumieniu tego naszego stosunku do Matki Najśw. — uzyskujemy nową pobudkę, która tym silniej działać może na naszą wolę, im silniej chwyta nasze serce. Przy każdym spełnieniu przykazania Boskiego, przy każdym nagięciu się do naszego obowiązku, przy każdym wysiłku w sumiennosci i delikatności wobec Boga bliźniego i własnego „ja”, możemy radośnie, ofiarnie i z ufnością powtarzać: „dla Ciebie Maryjo i dla Twej czci”! Spróbujmy w naszym codziennym życiu zwrócić baczniejszą uwagę na tę pobudkę, spróbujmy w momentach walki, w chwilach, gdy już chcemy się sprzeniewierzyć sumiennosci w pełnieniu naszych obowiązków, przypomnieć sobie tę pobudkę, by w imię Marii pokonać słabość, odnieść zwycięstwo.

Lecz jako członkowie Sodalicji musimy sobie uprzytomnić, że należąc do organizacji maryjnej, a więc tej, która za swój ideał i za swą Panią uważa Najśw. Pannę, specjalnie zobowiązujemy się do korzystania z tej pobudki ale i coś więcej. Przez wstąpienie do Sodalicji zobowiązujemy się szczególnie do korzystania ze środków zbawienia i wewnętrznego życia jakich nam Sodalicja dostarcza, do jakich nas zachęca, które są w zwyczajach lub w przepisach sodalicyjnych ujęte. Przestrzeganie przepisów sodalicyjnych wszystko jedno, czy tych które za bezpośredni cel mają nadprzyrodzoność jak np. nabożeństwa sodalicyjne czy choćby najbardziej błahych i na pozór czysto formalnych, jak np. sodalicyjne składki, usprawiedliwianie się z niespełnionych obowiązków itd., wszystko to jest pełnieniem służby Bożej wobec Matki Najśw. I przeciwnie, zaniedbywanie choćby najmniejszych obowiązków sodalicyjnych jest równocześnie sprzeniewierzeniem się nie tylko swemu danemu słowu w ślubowaniu sodalicyjnym, ale również przeciwstawianiem się woli Najśw. Pani.

Jeśli bowiem w Sodalicji jest jakaś władza, to jest ona od Boga i wola tej władzy jest wyrazem woli Bożej — a więc i woli Matki Najśw. Jeśli w Sodalicji może być jakieś polecenie i obowiązek to tylko mający za cel ostateczny służbę Najśw. Pannie.

Tak więc widzimy, że to jedno słowo, którym zwracamy się do Matki Najśw. jest w swej treści bardzo bogate, że ono wiąże nas specjalnie i zachęca do solidności zarówno w życiu sodalicyjnym jak i w naszych wszystkich obowiązkach i ludzkich, i katolickich w imię Maryi.

A jeżeli rozumiemy dobrze, że ludzie wobec swych władz chcą uchodzić za karnych i lojalnych, że dla względów doczesnych, dla chleba i stanowiska potrafią być bardzo ulegli i bardzo wierno-poddani, to czego naprawdę spodziewać się będzie można, jeśli tak głęboko pojmiemy z jednej strony władztwo Najśw. Panny, a z drugiej nieprzebrane korzyści, jakie płyną z respektu wewnętrznego i czynnego wobec Jej świętego panowania...

Warunkiem potęgi i siły każdej armii, jest wojskowa karność i posłuszeństwo. Chlubą harcerstwa i każdej dobrej organizacji jest posłuszeństwo i dyscyplina. Potęgą nie tylko Sodalicji jako organizacji, ale i każdego sodalisa i sodaliski, potęgą i chlubą nieporównaną będzie zawsze głębokie uznanie Najśw. Panny jako Pani naszej, uznanie, które odda naszą wolę w Jej służbę wierną i niezłomną.

¹ *W prywatnych objawieniach dawała i daje Najśw. Panna nieraz pewne wyraźne polecenie, np. św. Stanisławowi Kostce: „Wstąp do Towarzystwa Syna mego” albo polecenia ogólniejsze skierowane właściwie do całej ludzkości, jak np. w Lourdes, w Fatimie.*

Obieram sobie... za Orędowniczkę, Patronkę

Kiedy odzywamy się do kogokolwiek tytułem pan czy pani, to z jednej strony tytuł ten może napawać nas pewnym skrępowaniem, poczuciem własnej niższości i niegodności albo też w potocznej mowie, staje się tytułem niemal bez wartości. I tak jest faktycznie, że z samego pojęcia władztwa nie możemy określić ani wniesć o właściwościach ani tego, który panuje i jest panem, ani tych, którzy są podwładnymi i sługami. Wszak można być panem w stosunku do przedmiotu, czy człowieka mało wartościowego, a nawet złego. Można być panem wobec osoby, która zupełnie nie jest karna, która wręcz jest nieposłuszna, a nawet w sercu swoim żywi niechęć, czy nienawiść wobec swego władcy. I ten, który panuje może być panem dobrym lub złym, może być panem najżyczliwszym i wprost nieżyczliwym w stosunku do podwładnych. Panem jest w dalszym ciągu nawet wtedy, kiedy o swych podwładnych nie dba i wtedy, kiedy ich karze, a nawet wtedy, gdy się nad nimi pastwi.

Więc w rzeczywistości jest w tym tytule coś, co nie przedstawia ujmującej treści, samo z siebie przynajmniej; jest w każdym razie coś, co tworzy pewien dystans między osobą panującą a osobą podwładną. Im większy jest pan i bardziej absolutna jego władza, tym ten dystans jest większy. A jeśli uwzględnimy władztwo Boże, Boże *dominium*, jeżeli zastanowimy się nad istotą i źródłem tych Bożych przymiotów, a więc i tytułu Pan, jakim się do Boga zwracamy, to dystans nasz wyczuwamy jako nieskończony, gdyż władztwo Boże jest nieskończone i nieograniczone w swej treści.

Nic też dziwnego, że tytuł ten może onieśmielać, że wywołuje w duszy ludzkiej zażenowanie, skrępowanie, a nawet pewien lęk. Kiedy się nad nim zastanawiamy, to musimy

dojść do pewnego odczucia swej absolutnej zależności od Najwyższego. Rozumiemy i przeżywamy całą głębokością naszej duszy własną słabość i nicość, rozumiemy i przyznajemy całą własną niedoskonałość, widzimy i drżymy wobec złości naszej, która staje nam przed oczyma silniej i jaskrawiej wówczas, gdy stajemy wobec Boga jako Pana. On jest Panem, a my Jego sługami, sługami niestety po wielokroć razy niewiernymi. Nie mamy odwagi wówczas podnieść oczu, by spojrzeć w oblicze swego Pana, nie mamy sił, by zbliżyć się do Niego z ufnością, nie mamy ufności, by zbliżyć się do Niego z prośbą o uwzględnienie naszych potrzeb.

I coś z tego wewnętrznego skrępowania pozostaje w naszym sercu, kiedy odzywamy się do Najśw. Panny, nazywając Ją naszą Panią. Jeśli jest naszą Panią, to my jesteśmy Jej podwładnymi. Ona jest wielka i potężna, a my mali i nikczemni. Ta różnica godności i wartości jest podstawą znowu owego dystansu, tej odległości między nami a Matką Najśw., odległości, przez którą, zdawać by się mogło, ani głos naszej prośby, ani jęk bólu naszego serca do uszu i serca Najśw. Panny dotrzeć nie potrafi.

Ale mimo tego słuszną jest rzeczą, jak widzieliśmy już wyżej, że nazywamy Ją naszą Panią, jak słuszną jest rzeczą, że Boga nazywamy naszym Panem. Chodzi jedynie o to, by to onieśmienie, rodzące się w naszym sercu pod wpływem tych tytułów, zmniejszyć, chodzi o to, by uczucie i odczucie zarówno wielkości i godności Najśw. Panny jak i naszej niegodności i małości nie krępowało naszego serca, chodzi o to, byśmy wierzyli i ufali, że przez ten bezmiar odległości między nami i Najśw. Panną i za Jej pośrednictwem między nami a nieskończonością Boską, dotrze nasz głos wołania i modlitwy, że przez ten bezmiar dojdą nas dobrodziejstwa Boże i cała dobroć matczynego serca Najśw. Panny.

Dlatego też w naszym ślubowaniu sodalicyjnym obieramy sobie Matkę Najśw. za naszą Orędowniczkę. W słowie tym wypowiadamy głębokie nasze przekonanie, że skoro Ona jest Panią i Panią władną, to w takim razie głos Jej i Jej wstawiennictwo nie może pozostać bez znaczenia i bez wpływu. W słowie tym wypowiadamy głębokie przekonanie o naszej małości, przyznajemy się do naszych słabości i złości. W tym słowie wyrażamy szczere odczucie i przejęcie się naszą małością, niezaradnością i niewiernością, a z drugiej strony potężną tęsknotę naszego serca, aby Pan Wszechmocny stał się dla nas Ojcem, aby Pan Przedobry dobroć swą przelewał do naszych rąk, na nasze życie. W słowie tym wypowiadamy głęboką wiarę, ujmując ją niejako w stałą prośbę, by Matka Najświętsza swą władczą godnością stała się Pośredniczką między nami a Bogiem, chcemy, by przez Nią, za Jej przyczyną zmalął ten dystans dzielący nas od Boga.

Jeśli nasza złość i ułomność oddala nas od Niego, to niech Jej świętość i godność zbliża nas i niech przybliży ku nam dobrodziejstwa Boże. Jeśli przez złość naszą jesteśmy niegodni, by Bóg wysłuchał modlitwy nasze, to niechaj Jej orędownictwo spotęguje wartość modlitwy naszej.

Jeśli złość nasza usunęła z serca synowską ufność wobec Boga, to niechaj Jej dobroć wskrzesi w nim wiarę w skuteczność Jej modlitwy, skoro zgasła wiara w skuteczność naszego słowa i naszej siły.

Chcemy spotęgować wartość naszej modlitwy, chcemy wskrzesić w sercu naszym i utrwalić cnotę nadziei, chcemy w Jej ręce powierzyć nasze prośby, nasze kołatania, nasze wszelkie biedy, więc obieramy sobie Matkę Najśw. za Orędowniczkę.

Kto rozumie znaczenie tego słowa, kto ocenia wartość wstawiennictwa Matki Najśw., wpływającego z Jej godności, ten może spojrzeć pogodniej w życie swoje choćby nawet było ono gęsto zawleczone mgłą smutku i przygnębienia. Kto wierzy, że Matka Najśw. jest jego Orędowniczką, do tego duszy wstępuje nastrój radości, w tego duszy rodzi się pewność że ktoś potężniejszy od niego i nieporównanie lepszy o nim myśli, za nim się ujmuje i dba o niego i jego sprawy. Orędownictwo Matki Najśw. stanowić musi dla każdego serca różany blask nadziei, Jej orędownictwo bowiem sprawia, iż na duszę wylewają się słoneczne strumienie Bożych łask i wszystkich dobrodziejstw.

Lecz pojęcie orędownictwa nie wyczerpuje ani całej dobroci Matki Najśw., ani nie obejmuje wszystkich potrzeb naszego życia. W potocznym naszym życiu posługujemy się nieco innym słowem zamiast orędownik, orędowniczka, czy orędownictwo. Mówmy o interwencji, o protekcji, o wstawiennictwie. Lecz wszystkimi tymi słowami obejmujemy konkretne sprawy. Posługujemy się protekcją czy interwencją, więc orędownictwem wtedy, kiedy sami kierujemy pewną prośbą do jakiejś instancji, a rozumiejąc naszą słabość i małość, prośbę tę powierzamy osobie możnej i wpływowej. A więc orędownictwo występuje wówczas, kiedy z naszej strony już jest pewien wysiłek, pewne staranie. Orędowniczką Matka Najświętsza jest wówczas, kiedy za Jej pośrednictwem wnosimy do Boga nasze modlitwy.

Cóż jednak jest wówczas, kiedy się nie modlimy, chociaż jesteśmy biedni, kiedy Boga nie staramy się przebłagać, chociaż jesteśmy winowajcami? Jakże tragicznie wygląda życie nasze, kiedy zapominamy w nim o naszych najdonioślejszych sprawach, o życiu nadprzyrodzonym, jeśli nie wiemy o co mamy prosić, jeśli zwątpimy w skuteczność naszej modlitwy i modlić się w ogóle nie chcemy?

Czyż jest możliwe, by o ludzkiej doli, o szczęściu człowieka indywidualnego myślał ktoś, by ktoś o nim pamiętał wówczas, gdy on sam o sobie zapomniał?

W przewidywaniu aż tak tragicznej sytuacji, że sami zapominamy o własnym szczęściu, że zaprzepaszczamy możliwości dobrodziejstw Bożych, jakie zdobywamy modlitwą, wypowiadamy w naszym sodalicyjnym ślubowaniu nasze głębokie pragnienie i prośbę by Matka Najśw. była naszą Patronką.

Słowo to oznacza nie co innego, jak nasze życzenie, by Ona raczyła pamiętać o nas nawet wówczas, gdy sami o sobie zapominamy. Jeśli pojęcie orędownictwa odnosi się do poszczególnych wypadków skonkretyzowanych naszą modlitwą, to pojęcie patronowania Patronki wobec Boga oznacza wszystkie nasze sprawy, całość naszego życia i naszego dobra nadprzyrodzonego.

Więc wówczas, gdybyśmy, nie daj Boże, w grzechu sprzeniewierzyli się Bogu i o Nim zapomnieli, Patronka Najświętsza, widząc naszą nędzę, w imię Swego patronowania ujmować się będzie za naszą grzeszną duszą. I wtedy, gdy wszystko niejako przeciw nam świadczyć będzie, za nasze niedbalstwo i lekkomyślność, Najśw. Patronka podejmie się obrony, bo przez Jej patronowanie stajemy się Jej pupilami. I wtedy, gdy się nawet sami nie domyślamy, że grozi nam jakaś strata albo, że jest jakieś dobro do uczynienia, kiedy przechodzimy obojętnie obok walorów, które zyskać możemy, nie zwracając na nie uwagi mimo, iż się nie modlimy albo wprawdzie nasze serce wypowie słowa modlitwy ku Bogu — Ona Najśw. Patronka modli się i wstawia za nami u Boga. Przez ten święty tytuł Ona staje się naszą pełnomocniczką wobec sprawiedliwości i opatrności Boskiej. My stajemy się Jej pupilami, Jej wychowankami, których dobro ona bierze w swoje ręce, święte i czcigodne.

Z objawienia Pańskiego wiemy, że każdy człowiek ma swojego świętego Anioła Stróża, który jest jego jakby naturalnym patronem. Wiemy, że każdy z nas otrzymał na chrzcie świętym wraz z życiem nadprzyrodzonym imię świętego, przez co zobowiązał go sobie za patrona i opiekuna. Jakże jednak często pierwsze i drugie patronowanie jest przez nas zapomniane i zapoznane a wskutek tego zapomnienia w swej skuteczności i wpływie ograniczone i skrzepowane.

Wstępując do Sodalicji, a przez nią zbliżając się do Matki Najśw., obieramy Ją sobie za Patronkę na to, by spotęgować wpływ i tych poprzednich naszych patronów, przez Jej potęgę, przez Jej świętość, przez Jej macierzyński wpływ na Boskiego Syna, przez Jej macierzyńskie współczucie z naszą ludzką dołą i niedołą. Wierząc w Jej święty Patronat, nie chcemy, by był dla nas tylko obiektywnym faktem, lecz przeciwnie pragniemy, aby przez nasz do Niej stosunek, wypowiedany w całym nabożeństwie do Najśw. Panny stawał się coraz bardziej żywy i skuteczny. – Obieramy Ją sobie za Patronkę, wierząc w Jej potęgę i dobroć, i wypowiedamy w tym słowie naszą bezgraniczną ufność oraz prośbę, by raczyła nam patronować nawet wówczas, gdy sami o sobie dbać dostatecznie nie chcemy lub nie będziemy mogli.

W tym obraniu Matki Najśw. za naszą Patronkę, za Patronkę życia sodalicyjnego tkwi jeszcze moment bardzo dla nas doniosły. Obieramy sobie Ją za Patronkę indywidualną, lecz niemniej rozumiemy, że Ona jest Patronką Sodalicji całej. A przez to zyskujemy bardzo wiele. Jeśli bowiem Sodalicja przedstawia zespół dusz, wśród których niewątpliwie są takie, które i swym nabożeństwem do Matki Najśw. i swym oddaniem się sprawie Bożej ujmują Jej i Boga serce, to wierzyć możemy, że dusze te pociągają wzrok Najśw. Maryi Panny i Jej serdeczne zainteresowanie. A przez to, że jest Patronką całej Sodalicji i nasza mała dusza, która może nie zasługuje nawet na szczególniejszą opiekę z Jej strony, w imię tego ogólnego Patronatu dozna względów niewątpliwie większych, niż gdyby było poza Sodalicją. Ten szczegół powinien wzbudzić w nas ufność w chwilach słabością jak również i szlachetną ambicję, by przez sodalicyjną sumienność zobowiązać Najśw. Pannę jako Patronkę całej Sodalicji.

I jeszcze jeden szczegół musimy uwzględnić, który łączy się z pojęciem Patronki, jaką widzimy i mieć chcemy w Matce Najśw. Wiemy, że każda Sodalicja posiada swe tzw. patronalne święto. Jest ono ustanowione na to, aby co roku przez obchodzenie tego święta odżywała w nas ufność i oddanie się Matce Najśw. jako naszej Patronce. Dlatego też zwraca się uwagę w Ustawach Sodalicyjnych na to, by święto patronalne obchodzono w Sodalicyjach ze specjalną uroczystością. Gdyby nawet dla jakichś powodów Sodalicje takich uroczystości nie urządzały, to każdy z członków Sodalicji powinien indywidualnie uczcić Ją jakąś nowenną, czy w jakikolwiek inny sposób. Uczcić uroczystość patronalnego święta tak, by w duszy naszej odżyła pewność niezłomnej ufności, że mamy dzięki przynależności do Sodalicji Najśw. Patronkę, która myśli o każdym naszym kroku, a tęsknotą swego przedobrego serca pragnie dla nas świętości. Uczcić tę uroczystość, tak, aby w naszym sercu odżyło pragnienie świętości, które powierzymy Jej świętemu Patronowaniu.

Obieram za Matkę

Fakt, że Matka Boża jest Matką wszystkich wiernych, jest tak powszechnie znany i powtarzany tylokrotnie, iż może powstać poważna obawa spowszednienia jego doniosłości. Dlatego też słuszną jest rzeczą, byśmy jako członkowie organizacji w której kult Mariański jest jakby ożywczą krwią, umieli dobrze ocenić jego treść i odświeżać nią całe nadprzyrodzone życie.

Naszym więc pierwszym obowiązkiem jest zrozumieć tę prawdę, iż słowo Matka, którym nasze usta odzywają się do Najśw. Panny nie jest jakimś szanownym komplementem, lecz wyraża prawdziwie dziecięcy stosunek do Niej, że w stosunku tym jest tyle realizmu, ile go znamy tam, gdzie w stosunkach ludzkich dźwięczy to słowo opierając się na pewnych życiowych faktach i czynach.

Wiemy o tym, że podstawą tego stosunku jest zjawisko fizyczne, ontologiczne przelania życia z matki na dziecko, lecz prócz tego również pewne moralne przesłanki tworzą niejako ten macierzyński stosunek wtedy, kiedy ktoś wychowa cudze dziecko od wczesnego dzieciństwa, a jeszcze wyraźniej wtenczas, kiedy ma miejsce formalna adoptacja jako akt prawny. We wszystkich tych wypadkach nikt się nie zdziwi, jeśli dziecko odezwie się do swej żywicielki słowem „matko” i jeśli w sercu swym będzie miało sentyment równie silny, żywy i czuły jak rodzone dziecko, choć źródła stosunku macierzyńskiego i dziecięcego są rozmaite. Tak więc dochodzimy do wniosku, że we wszystkich tych wypadkach stosunek ten będzie jakąś rzeczywistością, choć geneza tej rzeczywistości nie jest jednakowa.

Jakimże macierzyństwem jest stosunek Matki Najśw. do nas? Oto pytanie na które odpowiedź powinna stanowić istotę naszego stosunku do Niej, tym żywszego, tym serdeczniejszego im lepiej tę istotę pojmiemy i głębiej się nią przeżyjemy.

Sławny apologeta francuski, jezuita, ks. Pinard de la Boullaye w cyklu konferencji mariologicznych, jaki wygłosił w paryskim Notre Dame w roku 1931 pod ogólnym tytułem „Maria arcydzieło Boże” w ten sposób uzasadnia macierzyński stosunek Panny, Maryi do wiernych. Matką staje się kobieta przez dar życia, jaki dziecko od niej otrzymało, a Matka Najśw. dała ludziom życie, Syna Bożego, który o sobie powiedział „Jam jest życie”. Lecz ten tytuł macierzyński rozumie kaznodzieja w sensie moralnym, a nie ontologicznym, gdyż następnie mówi, że słusnie Matką Ojczyzny można by nazwać kobietę, która swego syna wychowała i przysposobiła do wywalczenia Ojczyźnie wolności i wielkości. — Jest Matką wiernych, twierdzi dalej ks. Pinard, dzięki swej macierzyńskiej duszy, która wychowuje wiernych dla nieba. Wreszcie przez cierpienie za ludzkość współ z Synem od chwili ofiarowania Jezusa w świątyni aż po krzyż.

Niewątpliwie te dwa tytuły należą do istoty macierzyństwa tak dalece, że bez miłości dla dziecka i bez cierpienia dla niego, nie można sobie wyobrazić ani wyrobić istotnego pojęcia prawdziwej matki. Również niewątpliwie te moralne tytuły macierzyństwa Najśw. Panny występują w Jej życiu silniej niż w jakichkolwiek ludzkich stosunkach, kiedy dają tytuł do tego czcigodnego słowa „matka”. Jak słusnie zauważa ks. Willam w swej monografii o Najśw. Pannie, już przy Zwiastowaniu „Posłaniec z nieba zwrócił całą uwagę Maryi na dzieło Odkupienia, które Syn Jej dopełni na ziemi... Kierując do anioła, decydujące o całej swej przyszłości słowa: Oto ja służebnica Pańska oddała tym samym i poświęciła całe swe życie dla zbawienia ludzi... Duchowne macierzyństwo Maryi było więc oparte już w chwili poczęcia na silnych podstawach. Równie silnie i słusnie określa tenże autor myśli ks. Pinarda o cierpieniu Matki Najśw., a pogłębia ją jeszcze przez skojarzenie męki Chrystusa Pana z powstaniem Kościoła. Wraz z Synem, mówi ks. Willam, sama dobrowolnie współ ofiarowała

się i cierpiała już przy narodzinach Kościoła. Otóż dlatego stosunek Jej do Kościoła był zawsze stosunkiem macierzyńskim, podobnie jak macierzyńskim jest stosunek matki do dziecka, które porodziła w boleściach” (s. 334).

Lecz te moralne wpływy nie wyczerpują w całości ani podstaw, ani istoty macierzyńskiego stosunku Matki Bożej do nas. Wielu najwybitniejszych teologów widzi genezę jego w pozytywnej woli Chrystusa, który przed zgonem swą najwyższą i boską władzą mianował prawnie Najśw. Pannę Matką Kościoła i wszystkich wiernych, których przedstawicielem pod krzyżem był św. Jan ewangelista. Tutaj bezwzględnie trzeba powiedzieć, że ten prawny tytuł o tyle przewyższa wszystkie inne legalne adaptacje, jakie przewiduje ustawodawstwo ludzkie, o ile autorytet Boży przewyższa wszelkie ustawodawcze autorytety ludzkie.

W rzeczywistości, mimo tego autorytetu i mimo całej wartości macierzyństwa legalnego, istotą jego jest moralny stosunek i więź łącząca Bożą Matkę z wiernymi jako Jej adoptowanymi dziećmi.

Jednakże według najnowszych teologów, jeszcze i ten tytuł macierzyństwa nie wyczerpuje całkowicie tego, czym Matka Najśw. jest w stosunku do nas, jak chodzi o sferę życia nadprzyrodzonego. Są teologowie, którzy twierdzą nie bez słuszności, że stosunek ten jest ontologiczny, realny, nie jest tylko rzeczywistością moralną, ale rzeczywistością nadprzyrodzoną.

Uzasadnieniem tej myśli jest fakt objawiony, że Kościół św. jest Mistycznym ciałem Chrystusa. Ciało mistyczne jest rzeczywistością istniejącą na podstawie lub, jeśli można tak powiedzieć, jako dalszy ciąg fizycznego ciała Chrystusa Pana. Skąd Chrystus Pan wziął swe fizyczne ciało? Z ciała i krwi Najśw. Panny. A więc prostą logiką dochodzimy do wniosku, że Matka Najśw. jest Matką nie tylko fizycznego lecz i mistycznego ciała Jezusa Chrystusa - Kościoła św. Stąd ten ontologiczny związek między Nią, a wszystkimi wiernymi którzy są, jak wiadomo członkami mistycznego ciała Jezusa Chrystusa.

Na tej podstawie należało, by z całą słusznością powiedzieć, że im głębiej pojmiemy nasze zjednoczenie z Jezusem Chrystusem, tym głębiej wnikiemy w istotę macierzyństwa Najśw. Panny wobec nas. I na odwrót, im bardziej wyzyskamy nasz dziecięcy do Niej stosunek, tym silniej zjednoczymy się z Chrystusem.

Zwróćmy na to uwagę, że wszystkie te tytuły macierzyństwa Najśw. Panny istniały i istnieją niezależnie od nas, że one mają swe znaczenie nawet wówczas, gdyby ktoś nie korzystał świadomie lub mało korzystał z tego stosunku. A jednak, my w naszej rocie sodalicyjnego przyrzeczenia oświadczamy wręcz, że Ją „obieramy sobie za Matkę”. Czyż Ona nie będzie Matką, jeśli Jej sobie nie obierzemy? Jakież znaczenie ma zatem to nasze powiedzenie, gdyż bez sensu ono na pewno nie jest.

Znaczenie tego wyrażenia i jego walor jest najpierw w tym, że Bóg chce, byśmy wszystkie jego łaski, — a taką jest niewątpliwie macierzyński stosunek Maryi względem nas — przyjmowali dobrowolnie. Wtedy dopiero łaski jego stają się dla nas owocne. Po wtóre jest również w tym, że w nim wypowiedzany najgłębszą tęsknotę naszego serca i najsilniejszą zaufani do Najświętszej Panny tak dalece, iż nawet gdyby te wszystkie tytuły, o których dotąd mówiliśmy nie wystarczały do wprowadzenia tego dziecięcego stosunku do Matki Najśw.

jako Matki naszej, to my z całą serdeczną ufnością ten stosunek chcemy nawiązać, utrzymać i w nim radośnie żyć.

Drugi zaś moment nie mniej ważny jest ten, że w tym naszym oświadczeniu wypowiadamy wolę naszą, iż z tego rzeczowego stosunku, uzasadnionego moralnie i nawet ontologicznie, chcemy w życiu naszym korzystać tak obficie, tak gruntownie i tak, powiedzmy sobie szczerze czule, jak na to pozwala, jak do tego daje prawo Jej macierzyństwo wobec wszystkich wiernych.

Przecież i w liczniejszych rodzinach zdarzą się to, że chociaż wszystkie dzieci są rodzonymi dziećmi jednej i tej samej matki, to jedne dzieci łączy z matką prócz węzłów krwi złota nić serdecznej miłości, inne zaś są wobec matki chłodne, czy nawet obojętne, a niekiedy może nawet nieżyczliwe.

Przypominamy sobie nasze rodzinne życie i tę rzewną prawdę, że nasza rodzona matka miała zawsze dla nas jedynie dobre słowo. W naszej pamięci tkwi głęboko ciepłe spojrzenie matki, czujmy na swym czole jej dłoń, która spoczęła na nim wówczas, gdy w sercu szalała burza rozpacz lub zwątpienia, gdyżmy odczuwali równocześnie głęboką ranę, jaką zadało nam życie lub ludzie, albo nasza własna lekkomyślność. Im dalej warunki życiowe odłączyły nas od przedobrego serca naszej rodzonej matki, a tym więcej jeśli prawo życia i śmierci oddaliło nas na stale od niej, wszystkie te momenty dobroci przybierają na sile, pięknie i rzewności, jak jaśniejsze i gorętsze staje się słońce, wznoszące się coraz wyżej ku zenitowi.

Doświadczyliśmy w życiu wielokrotnie tego, co o miłość macierzyńskiej mówi tak pięknie O. Bellouard: „Miłość macierzyńska posiada szczególne cechy. Jest to miłość najwierniejsza często jedyna, trwająca zawsze, pomimo zapomnienia, obojętności i opuszczenia i niewdzięczności. Jest to miłość przepelniona litością, która swymi niewyczerpanymi zasobami pobłażania i uniewinnień niestrudzenie przebacza. Jest to miłość najbardziej bezinteresowna, najczystsza, która na pewno daje najwięcej. Jest to miłość najbardziej ofiarna i wywołuje zdziwienie nie wtedy, gdy jest heroiczna, tylko wtedy gdy nią nie jest”(s. 99).

Wszystkie te przymioty macierzyńskiej miłości widzimy w Najświętszej z matek, spotęgowane na miarę Jej świętości, Jej możności, Jej serca, przepelnionego Bogiem i oddanego bez reszty w miłości sprawie zbawienia i świętości swych dzieci.

O matkach doczesnych napisał wspomniany przed chwilą autor, te pełne prawdy słowa: „Bolesna wielkość matek... Bolesność matek z powodu utraty dzieci... płacze i nie da się pocieszyć od chwili, gdy dziecko jej oddaliło się od Boga i umarło, chociaż żyje – wielką śmiercią nadprzyrodzoną dusz grzesznych... W milczeniu matki, która się wstydzi... Kobieta, będąca teraz matką więcej niż kiedykolwiek, rozpoczyna w boleściach duszy poród, którego kiedyś w boleściach ciała dokonała. Przez ofiarę i modlitwę stara się ocalić to, co zginęło, przywrócić do życia to, co umarło. Monika wydaje na świat powtórnie Augustyna. <Ufaj, rzekł jej raz biskup, syn tylu łez nie może zginąć na wieki>. Wspaniale słowa! Należy je umieścić na pierwszej stronie książki boleści, którą biedne, strapione matki przeżywają z powodu grzechów dzieci”(s.97).

A ks. Willam, ujmując ogólniej tę sprawę pisze, że „każde nieszczęście dziecka staje się źródłem nowych źródeł miłości, tym obfitszych im większe jest cierpienie dziecka. Wraz z miłością wzrasta też troska i ból w sercu matki”(s. 308).

Prawdę tę odczuwa instynktownie każde chrześcijańskie serce w odniesieniu do Matki Najśw. i życia nadprzyrodzonego. I dlatego spotykamy się często z tego rodzaju faktami, że nawet ludzie, których złość świata porwała w odmęty grzechu i uniosła daleko od brzegów cnoty, a może nawet wiary, jeszcze zachowują jakieś resztki nabożeństwa do Najśw. Panny, jakby nadprzyrodzoną busolę, która ich ma przywieść kiedyś do portu zbawienia.

Niewątpliwie przed oczyma naszej duszy przez całe życie, a jeszcze bardziej w obecnej chwili, widnieje obraz Matki Najśw. pochylonej nad dziecięciem — nad ludzkością całą, jakby chciała powiedzieć: „Chodźcie, dzieci, z wszystkimi waszymi kłopotami! Ojciec miłosierny nie zawiesił swych łask, jak gwiazdy na niebie, ani ich nie ukrył, jak perły w morskich głębiach, ale złożył je w me matczyne dłonie, zawsze otwarte, bym je mogła między was rozdzielić”.

Wierzmy hojnym dłoniom Najśw. Panny. Wierzmy Jej szeroko rozwartym ramionom. Wierzmy Jej litosnemu spojrzeniu. Wierzmy Jej najlepszemu i najczulszemu sercu! Wierzmy Jej godności Matki Boga-Syna i przepojeni, porwani tą wiarą, nie znajdujemy innego wyrazu, jak jeden, jedyny święty i nieporównany — Matko! A wypowiadając go, rzucajmy się w Jej macierzyńskie objęcia, by w nich znaleźć ukojenie, radość, moc i doskonałość, by w nich trwać na zawsze.

I postanawiam sobie mocno!

Znany pisarz niemiecki na polu religijnym, ks. Fiedler, w swym dziełku „Nowy człowiek” powiada w zdecydowany i dla dzisiejszego człowieka zrozumiały sposób między innymi, że Chrystus obejdzie się bez bystrości czyjegoś rozumu, bez bogactwa wyobrażeń tego czy innego poety, bez wysokiego „C” jakiegoś tenora, bez dźwięku, słów naszych, bez naszych olśniewających myśli, tym bardziej bez naszych mięśni, a już najprędzej bez naszej wypchanej sakiewki: Chrystus potrzebuje jedynie woli uległej, dobroci naszego serca, dla Niego największą rzeczą jest serce poddane”(s. 102).

I prawdę wyrażoną w tych słowach warto mieć na uwadze, kiedy nieraz z niemałym zakłopotaniem myślimy o tym, przez co my w Sodalicji możemy sobie zobowiązać Matkę Najśw., czym zasługujemy sobie na to, aby stać się uczestnikami tych wszystkich przywilejów, praw i wartości, które są dorobkiem Sodalicji i jej własnością, zarówno z hojności Boga jak i nadania Stolicy św. Wyczuwamy niekiedy, że nas nie stać bezwzględnie ani na tyle organizacyjnego wyrobienia, ani na tyle wyłożonej pracy, ile w służbie Marii i Jej organizacji wykazują inni.— Nie wnieśliśmy i nie wnosimy do Sodalicji żadnych, jak się nami zdaje, ani materialnych, ani umysłowych, ani moralnych wartości. Pewnie, że zasadniczo wstąpiliśmy do Sodalicji po to, aby się w niej i przez nią wzbogacić w sferze życia nadprzyrodzonego, ale człowiek jest tak ambitny, że nawet w tej sferze nie chce być ciągłym żebrakiem, zwłaszcza jeśli widzi, że innych stać na to, by organizacji dawali coś z siebie i z swego. — Tego rodzaju pragnienie czy niepokój należy uważać za słuszny i szlachetny. Lecz nie obawiajmy się! Nie czynmy sobie zbytecznych wyrzutów! Do Sodalicji wnosimy nasze największe dostojeństwo, naszą największą wartość i najsolidniejszy potencjał wszelkiej wartości — naszą wolę, naszą wolę dobrą i zdecydowaną, zdecydowaną i mocną, a mocną i wytrwałą. Tę naszą ofiarę, tę wewnętrzną postawę wypowiadamy uroczyście w ślubowaniu sodalicjnym, kiedy mówimy: „I postanawiam sobie mocno, iż Cię nigdy nie opuszczę, nie

powiem i nie uczynię nic przeciwko Tobie”. To nasze mocne postanowienie jest, jeśli tak rzecz można, naszym sodalicyjnym wianem, czy naszym aportem, udziałem w wielkim, sodalicyjnym dziele. Chodzi tylko o to, by to nasze mocne postanowienie, nigdy w swej sile nie słabło, a następnie, by miało praktyczny wyraz w naszym życiu.

Wątpię, czy w dziejach Sodalicji, zwłaszcza, jak chodzi o Sodalicję starszego społeczeństwa zdarzyło się kiedyś, aby ktoś wstępował do Sodalicji bez owej dobrej, zdecydowanej woli, bez owego mocnego postanowienia. I my pod tym względem nie możemy sobie czynić żadnych wyrzutów. Owszem, stoi nam jeszcze żywo w pamięci dzień wstąpienia do Sodalicji, chwila uroczystego ślubowania i wszystko cośmy wówczas czuli. Jak to nam się zdawało, że niesiemy taką potęgę, że żadne moce piekła, żadne siły naszej namiętności, ani żaden podstęp spoganiałego świata sprostać jej nie zdoła.

Niestety może dziś, kiedy od tego momentu oddzielił nas spory dystans czasu, widzimy z żalem, zakłopotaniem i trwogą, że niejednokrotnie to mocne postanowienie traciło swoją siłę, że ta potęga woli jakoś dziwnie słabła, że bardzo często, jak się to mówi, ostatkiem tylko sił zdołaliśmy utrzymać sodalicyjną postawę naszej duszy, wytrwać, a może nawet wyrzucamy sobie słusznie jakieś niewierności... Więc odnawiamy nasze mocne postanowienie, ilekroć odmawiamy, powtarzamy formułę naszego sodalicyjnego przyrzeczenia, powtarzamy je gorliwie właśnie wtedy, kiedy doznaliśmy jakieś porażki, kiedy odczuwamy osłabienie tętna sodalicyjnego życia. Budzimy i ożywiamy w nas mocną i dobrą wolę. O to nam bowiem chodzi, by słowa nie złamać, by w wierności wytrwać.

Stąd prosty wniosek: Chcemy mieć silną wolę w służbie Maryi, szukajmy motywów tej służby, chcemy mieć wytrwałą wolę, odświeżajmy wyrazistość tychże w naszej duszy. Ożywiamy wolę naszą żywością naszych pojęć, poznań i doznań z jednej strony wartości Najśw. Panny i życia sodalicyjnego, z drugiej strony naszych potrzeb, braków i tęsknot najszlachetniejszych. Na tym zresztą w rzeczywistości wyrosło i wykwitło nasze pierwsze postanowienie wstąpienia do Sodalicji, tym zbudził się w naszej duszy pierwszy akt dobrej woli w drodze do Najśw. Panny. Tak sprawę ujmuje nasze sodalicyjne ślubowanie.

W sodalicyjnym przyrzeczeniu zwracamy uwagę najpierw na świętość Najśw. Panny, a z drugiej strony na naszą tęsknotę do świętości, wymieniamy Jej nieporównaną godność Bogarodzicy, której przeciwstawiamy małość, nikczemność naszego „ja”. Podziwiamy Jej dziewiczą piękność wobec naszej moralnej mizერი. Dlatego chcemy się Jej oddać w służbę jak najlepszej Pani, zawierzyć Jej jako przemożnej Orędowniczce i Patronce, a wreszcie zbliżyć się do Niej, spoufalić się z Nią, żyć i ukochać jak najlepszą Matkę.

A więc gwarancją niezłomnej mocy i wytrwałości woli będzie zawsze dla każdego członka Sodalicji z jednej strony świadomość własnych braków, odczuwanie głodu i pragnienie nadprzyrodzonych wartości, z drugiej strony coraz głębsze, radośniejsze i plastyczniejsze poznawanie i odczuwanie godności Matki. Najśw. — Jej dobroć i piękno obiektywne w Niej samej — jak w najpiękniejszym kwiecie, który nam podziwiać wolno. Jej dobroć i łaskawość przejawiająca się w całości życia sodalicyjnego. Jej dobroć matczyna, której wielokrotnie doznajemy w naszym indywidualnym życiu.

Tam tylko słabnie wola, tam tylko ogarnia duszę defetyzm, tam rozpoczyna się nawet dezercja, gdzie zanikła lub zanika ocena wartości dobra, wartości i godności życia pod sztandarem Niepokalanej. — Kto zatem zamierza odnowić swą wolę, postanowienie służenia

Matce Bożej, kto chce nadać mu moc niezłomną, ten musi zdobyć się przede wszystkim na odświeżenie tych racji, które go wprowadziły do Sodalicii. Jeśli zaś przekona się, że te racje są dziś dla niego bezwartościowe, ten niech wysili swój umysł, by znaleźć nowe, wystarczające do pobudzenia jego woli. Bo że zawsze takie racje znaleźć można, tego udowodnić nie potrzeba, bo świętość tej, której Sodalicje są piastunkami, która Sodalicii jest Opiekunką, bezwartościową nie jest!

Zwróćmy jednak na to uwagę, że nasze mocne postanowienie, które wyrażamy w sodalicyjnym ślubowaniu nie jest abstrakcyjne, że ono konkretyzuje się przede wszystkim w tym, że postanawiamy sobie nigdy nie opuścić Matki Najśw. — Jak należy rozumieć to postanowienie?

Pierwsze znaczenie bezpośrednie, wynikające z samego brzmienia słów jest to, iż nigdy nie zaniechamy tego wyjątkowego, serdecznego, dziecięcego nabożeństwa do Najśw. Panny, które jest cechą charakterystyczną Sodalicii. Wśród życiowych burz wciąż orientować się będziemy tą Gwiazdą Morza. Gnani wichrem pokus, do Niej kierować będziemy jęk naszej duszy. Powaleni słabością ciała czy ducha, do Niej wyciągać będziemy zebrzące ramiona.

Drugie znaczenie ma charakter organizacyjno-prawny. Tym postanowieniem wyrażamy decyzję trwania aż do śmierci w Sodalicii. Wszak wiemy z ustaw zasadniczych, że kto wstępuje do Sodalicii, ten zostaje sodalisem na zawsze, chyba że swym postępowaniem zasłuży na to, by go z Sodalicii usunięto albo własną wolą zerwie węzły łączące go z tą organizacją. W naszym ślubowaniu sodalicyjnym powinien być jakiś wyraz tego faktu związania się na zawsze z Sodalicją, faktu wstąpienia do niej po to, by w niej trwać aż do zgonu. W rzeczywistości akt ślubowania nie zawiera ani tego słowa, że wstępujemy do Sodalicii, ani że w niej chcemy pozostawać na zawsze. A jednak wiemy, że ta formuła jest prawnie uznana za akt wyrażający naszą wolę wstąpienia do Sodalicii i wytrwania w niej do ostatniego tchu. Wolę tę bowiem wyrażamy właśnie w tym, że niejako identyfikujemy nasz kult Mariański z życiem sodalicyjnym, obieramy Sodalicję, bo w niej znajdujemy Matkę Najśw., a więc postanawiamy nigdy nie zrywać węzłów, łączących nas ze Sodalicją.

Zatem wszystko jedno, czy nam ludzie będący w Sodalicii, kierujący nią będą sympatyczni czy nie, czy Sodalicja jako całość będzie nam uczuciowo, wrażeniowo miła, czy nie, my w Sodalicii wytrwamy! Wszystko jedno, czy w życiu sodalicyjnym i pracy doznamy wiele dobrego, czy spotkamy się z czarną niewdzięcznością, czy serce zaleje nam blask radości czy żółć goryczy – my w Sodalicii wytrwamy!

Wszystko jedno, czy gorliwość Sodalicii pociągać nas będzie swą siłą i różnego rodzaju wezwaniemi, czy o nas zapomni — my w Sodalicii wytrwamy! I jeśli życie zanieśie nas daleko od macierzy sodalicyjnej — my w Sodalicii wytrwamy i szukać będziemy tam, gdzie nas życie postawi Sodalicii, bo szukać będziemy z Matką Najśw. najwyższego kontaktu. A choćby życie zaniósło nas tam, gdzie Sodalicje będą całkiem nieznane, a wir pracy i obowiązków pochłonie nas całkowicie — my w Sodalicii wytrwamy i do naszej macierzy powracać będziemy tak często myślą i tęsknym sercem, jak dziecko oddalone od matki zdolne jest o niej myśleć, za nią tęsknić! I będziemy marzyli o tym, by nasz serdeczny stosunek odnowić i wzmocnić odwiedzinami Sodalicii naszej i jej przedstawicieli. Gdyby zaś to było niemożliwe, przynajmniej listem, pismem damy znać o sobie, czekając na odzew serca za serce. Tam z daleka przeżywać będziemy sodalicyjne uroczystości, sodalicyjne zebrania, jasne dni smutku, bo postanawiamy sobie mocno, że Matki Najśw. nigdy nie opuścimy, a Matkę tę znaleźliśmy w Sodalicii.

Wreszcie trzecie znaczenie, ma sens konkretny i praktyczny i pozostaje w związku z następującymi: „Nie powiem i nie uczynię nic przeciwko Tobie”. Lecz i to znaczenie można i trzeba komentować w dwojaki sposób. Jeśli nasze zobowiązanie się wobec Matki Najśw. jest zobowiązaniem wobec Sodalicji, to słowami tymi wypowiadamy mocne postanowienie zachowania wiernie, sumiennie, powiedzmy skrupulatnie przepisów sodalicyjnych, spełnienie solidne naszych sodalicyjnych obowiązków. Tylko wtedy podołamy różnym sodalicyjnym wymaganiom, tylko wtedy różne sodalicyjne drobiazgi nabierają wielkiej, bo nadprzyrodzonej wartości, gdy zrozumiemy, że są służbą Maryi, że one są przysługą dla Jej sprawy. Tylko wtedy zebrania, nawet te najnudniejsze, przynoszą nam prawdziwy duchowy pożytek, są dla nas zasługą, kiedy w tym duchu w nich uczestniczymy. Im więcej potrafimy się wyzbyć ceny naszego życia sodalicyjnego wedle własnych wrażeń, tym prędzej doznamy w spełnianiu naszych sodalicyjnych obowiązków tej dziwnej nieuchwytej, a przecież tak potężnej pociechy duchowej, która jest udziałem dusz zapominających o sobie dla sprawy Bożej. — Lecz żadnym innym doznaniem i przeżyciem wola nasza nie wzmacnia się tak, jak przez prawdziwe duchowe pociechy.

Więc w naszym mocnym postanowieniu występujemy przeciw tej małoduszności, która gotowa jest targować się o każdy grosz, o każdą chwilę czasu, o najmniejszą pretensję. Tym naszym postanowieniem rozszerzamy niejako nasze serce, chcemy wyrazić naszą wspaniałomyślność, hojność dla najświętszej Matki — Sodalicji.

Drugie zaś tłumaczenie obejmuje całe nasze życie, życie według przykazań Bożych, wedle woli Bożej. Ksiądz Gräf w znanej swej książce „Tak Ojciec” pisze: „Jak oblicze Jezusa Chrystusa nosiło rysy Matki Bożej, tak duchowne życie Maryi nosiło na sobie rysy Jej Boskiego Syna. Czy my, pyta ks. Gräf, w naszym ustawicznym zdaniu się na wolę Bożą mamy za wzór nie tylko Zbawiciela, ale także kochaną Matkę Bożą?” (s. 203). Dla członków Sodalicji odpowiedź nie pozostawia żadnej wątpliwości. Jej służymy, w Nią się wpatrujemy, by służyć Jej Synowi — Bogu. Nic przeciw Niej nie powiemy, nie uczynimy, bo nie chcemy niczego wypowiedzieć ani uczynić przeciwko prawu Bożemu! Wszak po to wstępujemy i jesteśmy w Sodalicji, by nie tylko nie grzeszyć, ale by się doskonalić.

I NIE POZWOLĘ, aby ci, którzy ode mnie zależą, cokolwiek przeciwko Twojej czci lub Tobie mówili lub czynili.

Tak zdecydowanie, jakby w bojowej postawie, mówimy w naszym sodalicyjnym ślubowaniu. I nie może być inaczej. Ten, kto kocha, ceni jakąś osobę spontanicznie, bez namysłu umie się ująć za jej czią, zdolny jest w razie potrzeby nastawić swoją pierś w obronie tej czci. Nie pozwolimy nigdy w życiu, by ktoś obrażał nasz naród, za człowieka niegodnego imienia Polaka uważalibyśmy każdego, któryby w razie potrzeby nie chciał stanąć do czynnej obrony jego godności. Nie potrafilibyśmy obojętnie przeżyć takiego momentu, kiedy by znieważono godność naszej matki, żony, narzeczonej. Wszak, wiemy, że do dziś dnia ludzie w imię obrony drogich sobie osób gotowi nie tylko narazić swoje życie, ale nawet swoje zbawienie, swą łączność z Kościołem przez nierozsądny zwyczaj pojedynków.

Cóż zatem dziwnego, że oświadczamy się z gotowością obrony czci Tej, którą obieramy sobie za naszą Panią, Orędowniczkę, Patronkę i Matkę. O ileż wyżej stoi Jej godność, Jej świętość, Jej moralna wartość ponad wszystkie osoby, które obejmujemy naszą miłością, głębokim szacunkiem i czią. Kto by był niewrażliwy na słowną lub czynną obelgę Matki Bożej, kto nie miałby odwagi wystąpić wtedy w obronie Jej czci, tym samym dawałby

namacalny dowód, że nie kocha, nie szanuje Najświętszej Maryi Panny. Przypuszczać coś podobnego o sodalisie wydaje się wprost niemożliwe!

Dlatego też zdawać by się nam mogło raczej zbyteczne to oświadczenie. Zbyteczne nawet i z tego względu, że w rzeczywistości prawie że nie ma okazji do wykonania tego postanowienia. Bo czyż jest ktoś w naszym społeczeństwie, kto odważyłby się w jakiś sposób ubliżyć słowem lub czynem Najśw. Maryi Pannie? Czy zdarzyło się nam kiedyś żyć w takim otoczeniu, które by występowało przeciwko Bogarodzicy? Na pewno nigdy. — Pewne tak bardzo sporadyczne wypadki znieważania figur, czy obrazów, bądź chorągwi z wizerunkiem Najśw. Panny były potępiane przez całą polską prasę i napiętnowane we wszystkich zakątkach Polski tak dalece, że nawet sprawcy tych bezceństw i ci, którym na takich faktach zależało, usiłowali się tłumaczyć, że opinia przesadza, że fakty były przesadzone, że sprawa jest niepoczytalny itp.

Faktycznie trzeba sobie uprzytomnić to, że geneza aktu ślubowania sięga XVI wieku, a więc czasu, w którym protestantyzm z całą największą ekspansją działał w całej zachodniej Europie. Działalność zaś protestantyzmu odznaczała się między innymi radykalną tendencją odarcia Matki Najśw. z Jej godności i jakiegokolwiek czci. Zohydzano publicznie słowem pisanym i żywym Jej imię, Jej osobę, Jej kult. Burzono Jej świątynie i kaplice, profanowano obrazy i figury, miotano najohydniejszymi słowami przeciw Najśw. Maryi Pannie. I przeciw temu bluźnierczemu nastawieniu protestantyzmu, przeciw słownemu i czynnemu urąganiu Bogarodzicy zmobilizowały się sodalicyjne hufce. W naszym sodalicyjnym ślubowaniu oświadczał każdy sodalis, że „nie pozwoli” na to. Kto zaś zna choć trochę dzieje reformacji na Zachodzie, ten wie, że to nie były tylko słowne utarczki i dyskusje teoretyczne lecz, że walczone wówczas ogniem i mieczem przeciwko katolicyzmowi i w jego obronie. Dlatego też to słowo „nie pozwolę” miało ogromną wagę i ostało się w ślubowaniu sodalicyjnym jako święta pamiątka bohaterskiej postaw naszych sodalicyjnych przodków.

Jak, chodzi specjalnie o naród polski, to trzeba powiedzieć, że dzięki Bogu nawet i w tym tragicznym dla Kościoła Katolickiego okresie nie było wiele dzikich objawów wystąpień słownych lub czynnych przeciwko czci Najśw. Maryi Panny. Było i jest coś bodaj we krwi i psychice polskiej, jakaś naturalna, a jednak wysokiej wagi delikatność, która nawet niekatolikom każe szanować godność Najślicniejszej z niewiast.

Doskonale to nastawienie oddał nasz wieszcz w „Dziadach”. Konrad wyzbyty przez racjonalizm i prądy oświecenia z żywej wiary, mówi wręcz:

„Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,

Nie mieszam się do wszystkich świętych litanii,

Lecz nie pozwolę bluźnić imieniu Marii”.

A opowiadanie kaprała w celi Konradowej kończy się tym pięknym powiedzeniem, stanowiącym prawdziwą chlubę nie tylko poety, ale całego narodu: „Vivat Polonus, unus defensor Mariae!” Prawdy tych słów nie pozwolimy sobie wyrwać, prawdy tych słów nie zaprzepaścimy ani my sodalisi, ani nikt ze szczerych Polaków, lecz życiem, słowem i czynem przyczynimy się, aby swą przedmiotowością stanowiła przykład dla innych, chlubę naszego narodu i realny przyczynek naszej społeczności do powszechnego kultu Bogarodzicy.

Trzeba jednakże zwrócić uwagę na to, że słowa te naszego ślubowania nie są tylko jakimś szanownym zabytkiem historycznym! Nie! Nie są nawet wyrazem gotowości do obrony czci N. Panny, a więc tylko wyłącznie jakąś defensywną postawą sodalisów czy sodalisek. Dowodem na to najbliższym jest druga formuła ślubowania, która jest również w powszechnym użyciu, a w której znajdują się następujące słowa: „mocno postanawiam, że Ci zawsze służyć będę, i starać się będę o ile możliwości, by Ci wszyscy wiernie służyli”. I to pozytywne czynne znaczenie cytowanych słów rotacji sodalicyjnej wynika z istoty samej Sodalicii, z jej założeń i celów. Wiemy przecież o tym, że jednym z istotnych celów Sodalicii jest czynne apostołstwo, jest praca pozytywna w szerzeniu Królestwa Bożego, a jeśli tak jest, to w takim razie jakiś wyraz zrozumienia tego celu i przyswojenia go swej woli, swemu życiu, musi dać każdy, występujący w tym, uroczystym fakcie i dniu sodalicyjnego ślubowania. Te właśnie słowa stanowią wyraz nastawienia apostołskiego, który należy do istoty Sodalicii i sodalicyjnego życia każdego z członków.

Sodalicje, zarówno doskonalenie członków jak i ich pracę zewnętrzną, apostołską, ujmują w ten sam sposób: „Per Mariam” – przez Maryję! I dlatego mówimy tylko o wiernej służbie, o doprowadzeniu innych do wiernej służby Matce Najśw. Lecz Sodalicje nie uprawiają bałwochwalstwa. „Panu Bogu swemu kłaniać się będziesz i Jemu Jednemu służyć będziesz”, mówi wyraźnie objawienie Boże, dlatego wszelki religijny objaw kultu, wszelka pobożność i wszelkie nabożeństwo, nawet nabożeństwo do Matki Najśw., musi zmierzać do Boga, w Bogu się koncentrować jako genezie i celu.

Lecz w Matce Najśw. widzimy najpełniejszy i najbliższy nam wyraz oddania się Królestwu Bożemu, najpełniejszy i najbardziej nam dostępny sposób zjednoczenia się z Chrystusem, przez którego dokonuje się zbawienie całej ludzkości. Cichą i dobrą wolę, a zarazem potęgę Bożej łaski i zmiłowania Bożego, widzimy w Matce Najśw. W Niej widzimy radość życia powszedniego, zapomnienia w zrozumieniu świata, wartość niemej cierpliwości i największego bólu. W Matce Najśw. widzimy przykład przygotowania do każdego wielkiego czynu w sprawie Bożej, kiedy trwała z Apostołami na modlitwie po Wniebowstąpieniu Pańskim aż do Ześłania Ducha św. Czcimy Ją, służymy Jej, bo Ona cała jest dla nas żywa, uosobiona cziłą i służbą Bożą. Czcimy Ją, służymy Jej, bo Ona jest wspomoczeniem wiernych nie tylko na polach bitew z pohańcami, ale w tych codziennych rozgrywkach o dobre i lepsze w obrębie czterech ścian życia rodzinnego, w obrębie czterech ścian naszej pracy zawodowej, wśród koleżanek i kolegów, i w tych rozgrywkach większych, głośniejszych, na publicznych zebraniach, dyskusjach, słowem wszędzie.

Dziś po pontyfikacie Piusa XI Papieża, stanowiącego początek nowej epoki w dziełach Kościoła, mówić o konieczności apostołstwa ludzi świeckich, apostołstwa członków Sodalicii, byłoby zapalaniem światła w jasny dzień. Akcja katolicka jako apostołstwo osób świeckich jest w Kościele Katolickim dziś już nie tylko hasłem, ale potrzebą duszy, jak było w pierwszych latach chrześcijaństwa. Kto tej potrzeby nie odczuwał, ten nie jest dobrym katolikiem, tym mniej jest sodalisem.

Przecież od pierwszych dni istnienia Sodalicii, wpływ na drugich stanowi święta ambicję sodalicyjnej młodzieży szkolnej. I pierwsza papieska bulla wyraża się o Sodalicach chlubnie nie tylko dlatego, że są wyborną szkołą pobożności członków, ale i dlatego, że przyczyniają się do szerzenia, umocnienia Królestwa Bożego w innych. Warto tu przypomnieć fakt, że kiedy Pius XI rzucił w świat hasło Akcji Katolickiej, to znawcy Sodalicii wielokrotnie pisali i mówili, że dla Sodalicii sprawa ta nie przedstawia się bynajmniej jako nowość, gdyż one apostołstwo uważają za swój cel i obowiązek. Dlatego też

ten sam Ojciec św. w alokucji do przedstawicieli Sodalicji wyraził się, że nie życzy sobie, by w nich cokolwiek zmieniano, bo znane nam są ich wielkie zasługi dla sprawy Bożej.

Stąd też niepodobna być sodalisem bez tej apostołskiej gorliwości.

Prof. Kasznica w swym dziełku „Myślą, sercem i wolą” skarżył się: „Nie ma wśród nas chrześcijan apostołów, bo nie ma w nas wiary. Kto ma ją prawdziwą – ten choćby chciał, nie zdoła jej mieć dla siebie tylko, musi ją wykrzyzczyć na każdym rogu ulicy, na dachu, ona wylewa się z niego, żąda przelania w dusze innych (s. 25). W Sodalicji żyjemy płomienną wiarą, żyjemy gorącą miłością Matki Najśw., dlatego też dajemy wyraz i naszemu apostołskiemu zapałowi w sodalicyjnym ślubowaniu.

Chodzi jednak o to, byśmy nie myśleli, że dzieło apostołstwa jest tylko tam, gdzie jest wielki aparat organizacyjny, gdzie się wiele mówi i biega, że do apostołstwa potrzeba specjalnej inscenizacji i dlatego rzadko się trafia sposobność apostołowania i nie każdy z członków sodalicji może sobie na taką pracę pozwolić. Ks. Chautard w swej pracy „Modlitwa duszą apostołstwa” mówi dowcipnie i słusznie, że tam gdzie się wiele bębni na rzecz apostołstwa, tam poza hałasem jest mało wyników. Cicha modlitwa, dobre słowo, dobry przykład, życzliwa pomoc — oto apostołstwo dnia powszedniego, apostołstwo ciągłe, święte i skuteczne.

Ojciec Lippert w dziełku „Łaski Boże” napisał pięknie „Gdziekolwiek na świecie znajdziemy człowieka, udzielającego cośkolwiek drugim ze skarbcza łask Boskich, które w nim samym unoszą się, płyną, tam w takim człowieku jest cząstka niebios i Tego, który jest w niebiesiach, Ojca wszelkiej łaski” (s. 148). Im więcej w nas będzie ducha Bożego, ducha sodalicyjnego, tym chętniej i skuteczniej potrafimy przybliżyć łaski Boże do dusz naszych bliźnich. Im więcej poświęcać się będziemy dla nadprzyrodzonego dobra, tym więcej będziemy mieli Boga w sobie.

Dlatego też przyrzekając Tej, którą zwiemy Królową Apostołów, tym samym przyrzekamy oddać do Jej dyspozycji nasze siły, gorliwość duszę apostołską, by przy Jej pomocy dawać Boga innym i przez to posiadać Boga tym doskonalej.

Błagam Cię, przyjmij mię...

Tymi słowami rozpoczyna się druga część sodalicyjnego ślubowania. Po wypowiedzeniu naszego wysokiego mniemania o Najśw. Maryi Pannie i naszej decyzji, którą chcemy Ją sobie zjednać, widząc równocześnie nędzę naszego „ja”, zwracamy się do Matki Bożej z prośbą. I nie jest to zwykła prośba, ale błaganie w którym zawieramy całe pragnienie naszego serca, w którym ma brzmieć największa potęga, krzyk naszej duszy, błaganie, któremu chcemy nadać całą przekonywującą i zdobywającą moc wobec serca Matczynego Najśw. Panny.

Ta moc tonu błagalnego, przekonywującego i jednającego występuje, wyraźnie w formule św. Berchmansa, w której są następujące słowa: „Proszę Cię i błagam, Najlepsza Matko, przez krew Jezusa Chrystusa za mnie przelaną...” Czyż można wymyślić silniejsze zakłęcie wobec Matki w ogóle, jak powołanie się na jej krew, płynącą w żyłach Tego, którego Ona kocha, dla którego ona się poświęciła, żyje, który jest jej chlubą, wielkością i

szczęściem? — Czy zaś była wśród wszystkich matek druga matka, dla której krew syna miałaby większą wymowę i moc przekonywującą? Czy wśród całych rzek krwi, które przepłynęły przez żyły ludzkie od pierwszego człowieka, czy wśród strumieni krwi, które wypłynęły z serc ludzkich i zrosiły ziemię, była równie płodna, szlachetna i godna czci, jak Krew Jezusa Chrystusa za nas przelana?

Błaganiem naszym chcemy dla siebie zdobyć Najśw. Pannę, chcemy posiadać Jej matczyne serce i względy, i dlatego z przekonania posługujemy się najsilniejszą wymową, stawiamy najwyższą cenę za Jej uczucia względem nas.

Patrz Matko! Syn Twój przelał za mnie krew, czy mogę Ci być obojętny? Na mnie jest zbawcza krew Syna Twego, czy możesz nie wysłuchać mej prośby? Czy możesz jej nie wysłuchać?

I po co, w imię czego, w jakim celu, aż tak głośno, aż tak, chciałoby się rzec, gwałtownie odzywamy się i błagamy Matkę Najśw.? – Aby nas przyjąć raczyła za swe sługi, za swe dzieci, odpowiada rota.

Były czasy, kiedy ludzie na zabój starali się wtargnąć w łaski panujących i dostać się na listę adlatusów, farmulusów. Ileż poświęcenia, ileż samozaparacia, ile intryg zapisano w kronikach dworskich Burbonów, Habsburgów, Romanowych i wszystkich innych z racji wiernopoddkańskiej służby faworytów królewskich? Rewolucje i demokratyzm starły blask majestatu dworskiego i służbę pozbawiły aureoli. Ludzie z przekonania czy tylko dla oka uważali się za byt wielkich, by się ubiegać za służbą komukolwiek, u kogokolwiek. Lecz naprawdę do ostatnich czasów zauważyć można, że gdzie pojawia się jakaś wielkość ludzka, tam ona nigdy nie jest samotna. Przeciwnie zawsze jest otoczona gronem satelitów, dla których tytułem godności jest właśnie to, że należą do zaufanych owej wielkości. I dziś tak jak dawniej, choć może w inny sposób, dobijają się o służbę u możnych.

Pozostawmy na boku zagadnienie, czy zjawisko to świadczy o godności czy małości człowieka w ogóle, a dzisiejszego człowieka w szczególności. Kiedy jednak sprawię przyjrzymy się ze stanowiska nadprzyrodzonego, musimy się zgodzić z poglądem jakiegoś wyraz ks. Lippert w swym dziełku „O człowieku dobrym”. „Służenie – pisze ten autor — jest czymś sobie tylko właściwym, a przecież wszędzie obecnym, bo potrafi przejąć w siebie wszystkie szlachetne a nawet bohaterskie poruszenia duszy. Nawet religia przyjmuje je pod przestronny dach swój. W służeniu zbiegają się z sobą religia i moralność. Czyn religijny staje się po prostu służbą Bożą, a moralny czyn służby ma zabarwienie religijne i aureolę koło głowy; stosunek do ludzi czyni ona świętym, cichym, wewnętrznym i serdecznym, jak modlitwa, uroczystym jak kult. Dlatego jest służba wystawiana tak na niebezpieczeństwo i traci swą wartość moralną, swą czystość, gdy się staje niereligijną, gdy nie wychodzi z Boga i od Boga nie spływa na ludzi. - „Panu Bogu samemu kłaniać się będziesz, Jemu samemu służyć będziesz” (s. 66). Bez służenia nie obejdzie się społeczność ludzka, ani żadne państwo, ani żadna organizacja, ani żaden szlachetny, czy zbrodniczy czyn. I tak jak ludzkim sercem miota chęć władania, wywyższenia się nad drugich, tak w nim żyje tęsknota „najbardziej ludzka ze wszystkich tęsknot ludzkich – wola służenia”. Dlatego też słusznie zauważa wyżej wspomniany autor, że Bóg uwzględnia tę właściwość ludzkiej natury i chce ją uszlachetnić, chce z niej wyeliminować to, co może człowieka upokarzać, niemal deptać.

Prawdą jest przecież, co zauważył ks. Fiedler, że „nie mało należy do typu służących-cyklistów: u góry zgarbione plecy, w dole spychanie nogami. Przedstawicielei tego rodzaju

znajdziesz we wszystkich klasach społeczeństwa. Chrystus nie żąda zginania pleców wobec góry, zabrania stanowczo deptania nogami po „dołach” (Nowy człowiek, s. 103).

Lecz królestwo Boże, sprawa Boża, Bóg — żąda od nas służby, służenia, obsługi. „Boskie człowieczeństwo, a dalej Eucharystia ze swą symbolicznie wymowną bezsilnością i potrzebą obsługi, a dalej Kościół jako potrzebujące opieki Ciało Chrystusa, wszystko to jest szczytem antropomorficznego myślenia i działania, na które Bóg sam się zgodził” (Ks. Lippert, j.w. s. 63). Więc też pojęcie nabożeństwa do Najśw. Maryi Panny nie może się obejść bez pierwiastka służby, bez tej idei ludzkiej i Bożej, uszlachetniającej ludzką intencję przez to, co jest w służbie — Boże.

Ks. Lippert w swej rozprawce o służeniu, słusznie mówi, że najczystsza musi się służba przedstawiać tam, gdzie się odnosi do ideałów, które przed nami stoją już osobiście: „do Boga i do Jego ludzi”. Pojęcie zaś służby tenże autor określa w następujący sposób: „służenie jako usposobienie wewnętrzne, jako chęć służenia oznacza niewątpliwie oddawanie siebie, poświęcenie się: Jest to wola skierowana ku sprawie, ku dobru, ku pożytkowi kogoś drugiego (j.w. s. 61, 54).

Oto widzimy, że w naszym stosunku do Najśw. Panny, w tym, o co się pokornie dopraszamy, jest obowiązek, lecz i jest najwyższa godność, jest praca, lecz i jest nagroda. W tej służbie nie ma nic upokarzającego, poniżającego i nic spychającego innych. Służba Maryi jest taką jak służba Bogu, jest jedyną służbą, która podnosi, uszlachetnia tego, kto służy, i dąży do podniesienia i dźwignięcia innych.

I trzeba w sobie wyrobić to poczucie godności i wartości sług najwyższych ideałów, aby umieć bronić owej dostojności wobec własnych złych skłonności i wobec innych. Wszak wiadomo, że opinia nie zawsze pochlebnie ocenia tę służbę. Wiadomo, że świat potrafi lekceważyć te publiczne i oficjalne objawy pobożności, tłumacząc się obłudnie, że jakkolwiek uznaje religijność, to jednak religijność powinna być według niego tak skromna, by jej na zewnątrz nie było widać. I niestety tak łatwo jest o to, by ta opinia znalazła w nas samych sojusznika w różnych ułomnościach. A każde ustępstwo w stronę świata i złych skłonności jest niewiernością w służbie Maryi.

W nas powinno być coś albo i więcej z tej szlachetnej dumy i niezłomnej woli, jaką miały i tyle dowodów dały te wielkie dusze, serca, które wyczuwają zbliżającą się katastrofę państwa Polskiego i doznając nieporównanego bólu wskutek panoszenia się obcej władzy w Polsce, samorzutnie porwały się do czynu bohaterskiego w Konfederacji Barskiej. Słowacki ujął podstawę tych dusz w znanej pieśni konfederatów: „Nigdy z królami nie będziem w aliansach, nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, bo u Chrystusa my na ordynansach — służy Maryi”.

Wbrew wszelkiej opinii chcemy służyć Maryi, dopraszamy się o tę służbę, bo w niej widzimy dobro nasze i dobro innych. Tą wierną służbą wyrabiamy sobie niejako prawo adopcji, dlatego ośmielamy się prosić, by nas Najśw. Panna przyjęła za dzieci.

Na pierwszy rzut oka może się wydać to zdanie ślubowania za zbyteczne. Wszak już przedtem każdy członek Sodaliczji mówi, że obiera sobie Najśw. Pannę za Matkę, prócz tego wiemy, że Ona jest Matką wszystkich wiernych, zarówno z postanowienia Chrystusa jak i na mocy faktu Macierzyństwa Bożego. A jednak, jeśli się głębiej zastanowimy, to przekonamy

się, że to nie jest zwyczajny - pleonazm, wobec istniejącego już stosunki dziecka — Matki między nami a Matką Bożą, ale że tu chodzi o pogłębienie tego stosunku.

Przecież stosunek dziecka do Matki może być bardzo różny. Dzieckiem jest niemowlę, które wszystko ma od matki i którego każdy dzień istnienia jest nowym obiektywnym zadłużaniem się wobec matki, zupełnie nieświadomym i bez możliwości odwdzięczenia się w jakikolwiek sposób. Dziecko kilkoletnie bierze również wszystko od matki i żyje jej dobrocią i poświęceniem, lecz już swoim ułożeniem, uśmiechem, dobrocią może być i bywa wielką pociechą dla matki, już może za dobrodziejstwa w sposób dziecięcy i dziecięco doskonały wyrazić swą wdzięczność i miłość względem matki. Młodzieniec tym mniej potrzebuje od matki, im więcej jest samodzielny, zaś im więcej jest samodzielny tym więcej może być matce pomocą. Człowiek wreszcie dorosły prawie usamodzielniony powinien stanowić dla matki chlubę, pociechę i pomoc niezawodną. Jego dumą i radością będzie nie tylko uczuciem, ale i czynem, odwdzięczać się swej macierzy.

Podobnie i w naszym stosunku do naszej niebiańskiej Matki możemy przyjąć różne możliwości naszego dzieciństwa. Wszyscy są Jej dziećmi, choć o Niej nie pamiętają, nie mają świadomości Jej opieki macierzyńskiej, i w żaden sposób Jej wdzięczności nie objawiają. Mimo to są przedmiotem Jej opieki, Jej troski, Jej przemożnego orędownictwa. Są dusze inne, które są świadome dobroci Matki Bożej, cieszą się nią, radość swą i wdzięczność swą objawiają w zaufaniu jakim Ją darzą, kiedy się do Niej modlą, wypraszają za Jej pośrednictwem nowe łaski i nawet umieją dziękować — wdzięczyć się do swej Matki kwiatami, lampką oliwną i pielgrzymkami. Wszystko to jednak jest skierowane do własnego interesu, własnych potrzeb. Matka Niebiańska ma z nich tyle pociechy, że są dobrymi dziećmi, pomocy właściwie nie ma żadnej.

Lecz i są takie dusze, które w nabożeństwie do Matki Najśw. w swym dziecięcym do Niej stosunku, potrafią się zdobyć na pewne wysiłki, ofiary dla Jej czci, na Jej korzyść, choć zasadniczo w nabożeństwie tym szukają własnych korzyści.

A wreszcie są czciciele Maryi, swej Matki Niebiańskiej, którzy rozumieją, że wszystko, co mają, mają Jej do zawdzięczenia, wobec tego chcieliby wszystkie swe siły, całe swe życie oddać w Jej służbę, poświęcić ku Jej czci, zamienić na dzieło nieustannej czci względem Matki Najśw. Jeśli obowiązki stanu, praca zawodowa nie pozwala im na wyłączone poświęcenie się sprawom religijnym i oddawanie czci Najśw. Pannie, to w doskonałości zawodowej pracy, w pełnieniu zawodu, w każdym czynie szukają chwały nie własnej, ale swej Matki i Jej chluby. Chcą być we wszystkim Jej pociechą, a żyją tą myślą dziecięcego do Niej przywiązania, korzystają z każdej okoliczności, by wprost i bezpośrednio poświęcić swe siły i czas dla Jej sprawy.

I jest też ideał naszego dzieciństwa wobec Matki Najśw. Ideał, który trzeba wymodlić, wypracować z pomocą Naszej Matki i o ten ideał prosimy Najśw. Pannę. Chcemy wyrósć w tym dziecięctwie nie tylko z niemowlęctwa, nie tylko z naiwności w nabożeństwie, pewnej dziecinności, która członkom Sodalicji w zupełności nie odpowiada, ale jakby z tej młodzieńczej zmienności i chwiejności chcemy wyrósć, jeżeli można tu użyć słów św. Pawła: „w męża, człowieka doskonałego” w tym nabożeństwie.

To stanowisko nie przeszkadza wszelkiej czułości i delikatności, którą znajdujemy w nabożeństwie do Maryi, jako naszej Matki. Przeciwnie, im to uczucie dobroci Jej matczynego serca będzie większe, tym bardziej może i powinno nas zobowiązywać do wierności i delikatności względem Niej. Kościół katolicki przedstawia Ją nam jako Matkę najmiłszą, by

wskazać wiernym na Jej dobroć, łaskawość, która powinna ująć nasze serce i oddać Jej w posiadane. Wyczuł to doskonale nasz poeta Norwid w swej litanii. Oto między innymi jego słowa:

„Modlitwom bliska przez swą osobistość
niewieścią — bliska pobłażaniem prawie
przez macierzyństwo i bliska przez czystość
wszelkiej tęsknocie ludzkiej, wszelkiej sprawie,
Układna niby dobra białogłowa,
z góry a jednak patrząca łaskawie,
mocna a jednak w prostocie zupełnej,
przędząc wiele z barankowej wełny
i bardzo cicha, a przez to nie mniejsza,
współpracująca wszystkimi cnotami,
kończąca wszystko.... Matko Najmilsza,
módl się za nami...”

Wspieraj mnie we wszystkich moich sprawach

Wielka doniosła prośba, a zarazem rzecz można prawie ryzykowna. Bo czyż wolno nam angażować Matkę Bożą, Pannę Przeczystą, Pannę Najśw. do wszystkich naszych spraw? Czy nasze sprawy są wszystkie takie, aby ryczałem wzywać w nich dla nich asystencji i pomocy tej Najświętszej istoty? Czy w naszych ustach słowo to jest wielkodusznością, czy lekkomyślnością? — Bo może być i jednym i drugim. Właśnie dlatego, że może tak być, należy uważnie zastanowić się w tym punkcie, gdzie rozpoczyna się rozstaje ku wyżynom doskonałości, przez wielkoduszność zawartą w tych słowach lub nizinom przyjemności, bodaj nawet grzechu przez lekkomyślność naszą.

Czymże są te wszystkie nasze sprawy? Jedne są wielkie, zasadnicze, inne są małe, czcze drobiazgi. Jedne są naszym zawodem, powołaniem, podstawą naszego życia, a inne są przygodne, dodatkowe, stanowią dekorację lub szczerbę w życiu. Jedne są radosne, miłe, a inne przykre, dokuczliwe. Jedne są nadprzyrodzone, Boże, duchowe lub tylko duchowe, — a inne są materialne, z istoty swej czysto naturalne, a nawet bywa — kryją w sobie zło grzechu.

To są sprawy nasze od zewnątrz. A od wewnątrz? Dlaczego te sprawy są nasze? Czy tylko głównie skutek warunków, w jakich żyjemy? Czy przez pozytywny, że w nich tkwi coś z naszego „ja” najdostojniejszego najbardziej subtelного?

Nasz jest pozytywny wynik wszelkiej pracy, bo sam jest częścią naszych sił fizycznych częścią — jeśli tak rzecz można — naszej duszy. Nasze jest to, co nie jest nasze, ale o czym śnimy i marzymy, co mamy przed sobą jako cel. Nasze jest to, co jest przedmiotem naszych pragnień i tęsknot i naszych umiowań.

Wszystko jest nasze, choćby było nie nasze, do czego się za zgodą woli wyrywa wyobraźnia, czy jakakolwiek skłonność i namiętność nasza.

Więc?... Czy mi wolno z czystym sumieniem, bez ujmy dla Najśw. Panny powiedzieć: „Wspieraj mnie we wszystkich moich sprawach”. Druga rota ślubowania po tych słowach zawiera jeszcze taką prośbę: „I wyjednaj mi łaskę, bym w słowach, uczynkach i myślach tak się zachował, żebym Twoich i Syna Twego oczu nigdy nie obraził”. I te słowa tłumaczą nam wszystko. W naszym ślubowaniu sodalicyjnym wypowiadamy wielkodusznie jakby postanowienie, że wszystkie sprawy które są sprawami naszymi, chcemy, by były takie, by nigdy nie obrażyły oczu Najśw. Panny — Boga. A w takim razie słowa te, ta prośba jest czymś wielkim. Ona jest jakby tym zrywem do lotu ku doskonałości. Słowa te są prośbą, ale i są publiczną manifestacją, że ideał, doskonałości, świętości uważamy za swój ideał. Tymi słowami kierujemy życie nasze na rozstaju dróg ku wyżynom, ku Bogu.

Jeśli na życie nasze, na wszystkie nasze sprawy spojrzymy ze stanowiska religijnego, to musimy zauważyć, że one wszystkie są więcej Boże niż nasze. Boże dlatego, że Bóg w każdej naszej sprawie jest przyczyną pierwszą, a my tylko wtórna. Już na tym tle można dojść do wniosku, że każde przyswajanie sobie jakiejś sprawy wbrew woli Bożej, Bożemu prawu, musi być nadużyciem, mniejszą lub większą przewiną wobec Boga. To co jest Boże, nie powinno być nasze albo raczej, co jest nasze musi być Boże!

Lecz sam ten obiektywny fakt, że wszystko, co jest nasze jest równocześnie Boże, nie stanowi jeszcze ani moralnej, ani religijnej wartości człowieka. Dopiero wówczas, kiedy człowiek świadom jest tej zawisłości od Boga, gdy tę przedmiotowość uczyni swoim wewnętrznym przeżyciem, kiedy swoje sprawy refleksyjne odnosi do Boga, wtedy dopiero człowiek staje się religijny, bo istotą każdej religii jest nawiązanie łączności człowieka z Bogiem, świadomej, dobrowolnej, serdecznej! A im więcej człowiek swą myślą sercem i wolą jednoczy się z Bóstwem, tym bardziej jego sprawy są sprawami Bożymi, tym więcej Boże sprawy stają się jego sprawami.

Religijność taką można spotkać wszędzie. W starożytności i później, a nawet dzisiaj wśród pogan, buddystów, braminów, szintoistów itd. Ks. Bellovard „W odpowiedziach Chrystusa” zauważa słusznie, że „niektórzy ludzie żyją w religii fałszywej, a mimo to są prawdziwie religijnymi”. Dodać należy, że o ile poganie nawet przez swą religijność stają się dobrzy i lepsi, to mimo tego ich religia nie staje się przez to ani o włos lepsza, ani dobrą, ani prawdziwą. Tak pojęta religijność jest czią i służbą Bogu tym wierniejszą, solidniejszą, im jest głębszą.

Lecz w naszej świętej religii katolickiej jest coś więcej. I dokonywa się coś więcej przez gruntowną i prawdziwą religijność katolika. Jest nie tylko prawda absolutna, jest nie tylko wewnętrzny związek między poszczególnymi prawdami religijnymi i między wszystkimi

nakazami i postulatami moralnymi i katolicyzmem, ale jest przepis prawa, czy upragniony zwyczaj? Czy nie przez to jedyne w swoim rodzaju życie w Bogu z Boga w znaczeniu nadprzyrodzonym. Nadprzyrodzoność życia religijnego, która jest wyłączną własnością chrześcijaństwa, doprowadza w ten obiektywny, rzeczowy stosunek człowieka do Boga nowy element, element łaski, który człowiekowi w znacznie wyższym stopniu daje udział w życiu Boga, który Boga wprowadza w nasze sprawy w swoisty całkiem sposób.

Św. Jan Ewangelista i św. Paweł ze szczególnym naciskiem i — trzeba by powiedzieć — umiłowaniem opisali prawdę wszczęcia życia każdego chrześcijanina w Chrystusa. Św. Paweł tak dalece zjednoczenie organiczne swego życia z osobą Chrystusa zrozumiał, że z patosem sobie właściwym wypowiedział nowe zdanie: „Żyją już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”. Cała jego nauka, jego ewangelia o mistycznym Ciele Chrystusa, o przyobleczeniu Chrystusa przez każdego ochrzczonego, to nie są jakieś retoryczne powiedzenia bez realnej wartości, ale prawda o żyjącym Chrystusie na sposób mistyczny, ale to rzeczywisty Chrystus w całym Kościele, który jest Jego ciałem, zaś poszczególni wierni Jego członkami.

Ostatnie lat dziesiątki przyniosły katolicyzmowi bogaty dorobek głębokich teologów, którzy tę naukę o współżyciu Chrystusa z wiernymi i wiernych z Chrystusem w mistycznym Jego Ciele coraz wszechstronniej opracowują i rozpowszechniają.

Wystarczy wspomnieć tego rodzaju autorów jak - Scheeben Adam, którego dwa dzieła „Idea katolicyzmu” i „Jezus Chrystus” przyswojono językowi polskiemu, Jürgensmeier, Pfielen itd. Miejmy nadzieję, że płodne w pojęciu życia chrześcijaństwa prawdy, coraz bardziej będą przenikały do świadomości wszystkich katolików. Tutaj czynimy o tym wzmiankę dlatego, by zwrócić uwagę na to, iż przez to, że jesteśmy katolikami, my jako jednostki jesteśmy członkami mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa, należymy do niego jako jedno więcej indywidualium, lecz nadto, że wszystkie nasze sprawy, całe nasze życie powinno być życiem w Chrystusie. — To jest prawda i obowiązek obejmujący wszystkich wiernych. — Niestety ogół katolików w ten sposób życia nie pojmują. Religijność, katolicyzm jest dla nich jedną z wielu wartości życiowych, może nawet teoretycznie najwyższą, praktycznie jedynie odświętną zbytkowną, czy uboczną. Większość katolików jest rzeczywiście taka jaką przedstawił O. Bellouard: „Ludzie niekonsekwentni. Im wystarczy, że odmówią wierzę w Boga i wypełnią zewnętrzne praktyki religijne, aby życiu zostawić zupełną swobodę. Ubierają się w swoją religijność jak w płaszcz przed pójściem do kościoła. Po powrocie zrzucają go ze siebie. I od tej chwili do następnej niedzieli nie ma o niej więcej mowy. W sprawach życiowych, w miłości, w przyjemnościach, w życiu prywatnym religijność u nich nie gra żadnej roli” (s. 125).

Otóż właśnie dlatego wstąpiliśmy do Sodalicji, aby im wszystkim dać wartość zasługi w życiu nadprzyrodzonym, aby przez nasze życie religijne, jakby powiedział ks. Gräf, konserwować je, przeistoczyć. Na to wstąpiliśmy do Sodalicji, w takim stopniu jak przedstawia ks. prof. Rademacher w swej pracy „Religia a życie”. Życie w Bogu jest niewyrozumowane, podobnie jak odbierane wrażenia artystycznych i twórczość artystyczna. Jest ona religijna nie od czasu do czasu, tylko zawsze i wszędzie. Nie może być typ taki jak mówi Newman, być naprzemian religijny i niereligijny, tak jak nie jest się chwilą zdrowym i znów chorym. Człowiek, który jest religijny, jest religijny z rana, w południe i w nocy. Religia to jest charakter, forma, w której mieścić się muszą jego myśli słowa i czyny: wszystko to są części jednej i tej samej całości. Widzi Boga we wszystkich sprawach (s. 143).

Musimy z duszy naszej wypędzić resztki obaw, że przez takie zdecydowane stanowisko, że takim życiem uczynimy z siebie odludków, czy dziwaków. Ks. Lippert, jezuita, zauważył bardzo trafnie, że właśnie człowiek genialnie religijny czyni wrażenie człowieka mniej religijnego. Jego religijność jest mniej narzucająca się i jemu samemu, i innym. Religijność jego stała się przez siebie samą zrozumiała, a przez to pełna prostoty i spokoju, milcząca i opanowana. Pełna religijność znaczy to samo, co życie pełne i bogate, oraz harmonijne człowieczeństwo (O człowieku religijnym, s. 24, 25). Tak jest, prawdziwa religijność uczyni nas ludźmi wartościowymi i wobec Boga i wobec ludzi. Znany francuski literat Dinet pisze tak w swym szeroko rozpowszechnionym po świecie i u nas w Polsce dziele: „Sztuka myślenia”: „Spotykamy ludzi, stojących wielokrotnie niżej od nas, których myśli wzbudzają w nas podziw. Przeczytajmy żywot, świętego żebraka Labre’a okrytego łachmanami i żyjącego w brudzie na stopniach rzymskich świątyń. Poznajmy życie skromnego proboszcza z Ars Jana Baptysty Vianey’a tak słabo uzdolnionego, że chciano mu odmówić święceń i to w tym czasie, kiedy poziom duchowieństwa francuskiego był niezbyt wysoki, spójrzmy na ich oblicza, w oczach i na twarzach ujrzymy jakąś jasność, która jest wyrazem wzniosłej, myśli” (s. 92).

Taka jest prawdziwa religijność, świętość, doskonałość. — Ona jest naszym ideałem, do niej chcemy zdążać przez całe życie i we wszystkich naszych sprawach. Lecz że czujemy, iż wiele spraw naszych pozostaje jeszcze pod wpływem świata, jego zasad, pod wpływem naszych nieopanowanych namiętności, że osmoza życia nadprzyrodzonego nie przeniknęła jeszcze życia naszego wszechstronnie i dogłębnie, dlatego zwracamy się do Najśw. Panny w naszym ślubowaniu z pokorą i prośbą usilną, by Ona była na zawsze we wszystkich naszych sprawach.

Wszak na to obieramy Ją na Patronkę, Orędowniczkę i Matkę, aby w momentach, kiedy stać będziemy bezradni, albo kiedy siła zewnętrznych wpływów i naszych złych skłonności w naszych sprawach odwodzić nas będzie od Chrystusa, raczyła ocalić nas i te sprawy dla Niego. Naszym ślubowaniem, naszym wstąpieniem do Sodalicji zapraszamy Ją niejako na gody jak ongiś w Kanie Galilejskiej. A gdy liczymy, ufamy, to równocześnie prosimy, by Jej Syn na Jej prośbę uczynił cud łaskawości.

W ten sposób rozumiemy, że choć nabożeństwo do Matki Najśw. jest cechą charakterystyczną dla naszego sodalicyjnego życia, to zadaniem jego jest nie co innego jak najdoskonalsze życie w Chrystusie, najpełniejszy Chrystocentryzm we wszystkich naszych sprawach. Świat stał się bogaty Bogiem przez Macierzyństwo Najśw. Maryi Panny, my chcemy stać się świętymi, doskonałymi we wszystkich naszych sprawach Chrystusa przez Maryję Pannę.

Nie opuszczaj mnie w godzinę śmierci

Ludzie różnie myślą i czują, kiedy staje im przed oczy widmo śmierci. Grąbczewski, znany badacz geografii, opowiada w jednym ze swych dzieł, jakie na nim zrobił wrażenie widok egzekucji kilkudziesięciu Chińczyków, którzy z największym spokojem patrzyli, jak ścinali im głowy na pniu toporem i najspokojniej w świecie podchodzili do tego pnia, i składali na nim głowy, z którymi tracili życie. Przed laty zaczął mię stary, rasowy góral w Rabce, ot tak na drodze, pocałował w rękę i z ogromną serdecznością odezwał się: „Jegomość

ja was też bardzo piknie proszę, abyście się pomodlili dla mnie o rychłą śmierć”. A znowu kiedy indziej po nauce rekolekcyjnej, którą nie bez osobistego przejęcia wygłosiłem w pewnej Sodalicy Pań, podeszła do mnie prezydenta tejże Sodalicy i z największą szczerością powiedziała, że ta konferencja nic jej nie dała, bo ona śmierci zupełnie się nie boi i z tęsknotą na nią wyczekuj. Znany jest fakt historyczny pani Mata Hari, osoby bardzo wątpliwej konduity moralnej, która za szpiegostwo została skazana na śmierć, i na miejsce egzekucji do momentu rozstania się z życiem, przysposobiła się tak, jak się sposobiła zawsze wtedy, kiedy miała dla siebie najprzyjemniej wieczory — szminki, perfumy, odpowiedni kostium, stanowiły jej główną myśl i przygotowanie. Znane są fakty, że najwięksi zbrodniarze szli na miejsce stracenia z podniesionych czołem, z prawdziwym humorem, wśród dowcipów oddawali życie. — Lecz wiadomą też, że Święci Pańscy wobec grozy śmierci odczuwali trwogę. Czytamy w brewiarzu w żywocie św. Hilariona, że sam do siebie mówił w ostatnich chwilach: „Wyjdz, czemu się boisz, wyjdz, czemu się wahasz, moja duszo? Siedemdziesiąt lat służyłaś Chrystusowi, a śmierci się boisz?” Wiadomo, że wielu skazańców na wiadomość o wyroku śmierci siwiał w ciągu paru godzin. Nie zapomnę nigdy przeżyć jednej nocy w czasie pierwszej wojny ogólnoswiatowej, w więzieniu na Montelupich. Obok mej celi siedział więzień skazany na śmierć, który się jej tak bał, że z rozpacz walił głową o ścianę i z rozpacz pociął sobie żyły. Jedno i drugie zresztą bezskutecznie. Wiadomo również, że lekarze nie mówią choremu o jego ciężkim stanie zdrowia, aby nie przestraszyć go myślą o śmierci. Wiadomo, że wielu ludzi umiera niezaopatrzonych świętymi Sakramentami dlatego, że ich otoczenie boi się sprowadzać księdza z duchową pociechą, by chorych tym nie przestraszyć.

Kaznodzieje, kierownicy rekolekcji posługują się tematem śmierci, jakby najskuteczniejszym młotem do kruszenia najbardziej zakamieniałych grzeszników. Ale są pisarze ascetyczni, a między nimi O. Faber, oratorianin, którzy całe dzieła czy rozprawki pisali na temat radości jaką niesie ze sobą śmierć.

Więc istotnie różnie można reagować na ten fakt i na myśl o nim, a racją tego będą zawsze dwa źródła, z których rodzi się takie, czy inne, subiektywne pojmowanie faktu śmierci. Źródłem jednym jest zmysłowy instynkt samozachowawczy, który człowiekowi jest wspólny ze wszystkimi zwierzętami. A przecież w zmysłach tkwi, rozwija się, czy zamiera ten instynkt, dlatego zasadnicza strach przed śmiercią jest wyrazem z tego stanowiska — raczej wrażliwości, powiedzmy o prostu nerwowości u danej osoby, a nie jej wartości moralnej. W dzisiejszych zwłaszcza czasach, kiedy sam sposób życia wpływa ujemnie na system nerwowy nie można się dziwić, że nawet ludzie pod względem moralnym najsolidniejsi na tle neurastenii mogą dochodzić na myśl o śmierci do patologicznych objawów. Zresztą i ta nerwowość może mieć również nieoczekiwany rezultat, pragnienie czy nawet szukanie śmierci. Do dziś dnia stoi mi przed oczami młoda pani, która w najwyższym stanie rozstroju nerwowego przyszła do mnie pytać się, czy dobrze robi, odbierając sobie życie. W długiej rozmowie usiłowała mnie przekonać, że musi to uczynić, gdyż jeden z jej braci po jakimś nieporozumieniu z drugim bratem wyskoczył przez okno w ten sposób pozbawił się życia; ten drugi czując się winnym zastrzelił się, a trzeci wobec takiej katastrofy rodzinnej dostał szału i umarł w szpitalu przed paru dniami.

Źródłem drugim jest świadomość sądu Bożego łącznie ze świadomością nieświętego życia u osób wierzących, u osób zaś, niewierzących nieprzebita ciemność i nieświadomość co jest poza bramą śmierci. Niewątpliwie powinno nam zależeć na tym, aby wobec tego ostatniego aktu życia, mieć nie tylko wiele spokoju ducha i równowagi, opanowania nerwów, ale jak najwięcej tego co powiedział św. Paweł: „Pragnę być rozwiązany i żyć z

Chrystusem”, albo to św. Teresa, wyraziła w swej glossie: „I tym umieram, że umrzeć nie mogę”... Jakże możemy dojść do tego?

Faktem jest, że śmierć jest pogwałceniem życia, ale ten gwałt różnie się odbywa: u jednych z jękiem, z jakim burza wyrywa stuletnie dęby, u drugich spokojnie i błogo, jak zaśnięcie niewinnego dziecka. Faktem jest, że śmierć jest ostatnim momentem pojednania z Bogiem, momentem prawdziwie ostatniej woli. I to jest właśnie cała jej groza, waga i ryzyko.

W naszym ślubowaniu Sodalicyjnym wzywamy Matkę Najśw. by nas nie opuszczała w godzinę śmierci, i temu wezwaniu różne możemy nadać znaczenie. Wolno nam prosić o to, by Ona swą obecnością zaznaczyła uproszenie potężnej łaski Bożej, która pozwoli nam mężnie, ofiarnie znieść największe fizyczne cierpienia, najstraszniejsze przeżycia natury emocjonalnej tak, że wśród śmiertelnych potów odczuwać jeszcze będziemy, że więcej powinniśmy byli cierpieć dla dobra sprawy Bożej, dla Niej i dobra własnej duszy.

Wolno nam prosić o to, by ona swą dobrocią i łaską Bożą przywołała nam na pamięć wszystkie, chwile radosne w których ze szczerością i miłością dziecka tuliliśmy się do Niej w modlitwach, rozważaniach, nabożeństwach Sodalicyj i tak bardzo rozumieliśmy Jej dobroć, ciepło matczynego serca od pierwszej chwili ślubowania sodalicyjnego poprzez długi szereg miesięcy, lat i lat dziesiątków. Prosić oto, by ten strumień orzeźwiający wspomnień ugasił w nas gorączkową trwogę i niepokój, a w naszym sercu wzbudził nieograniczoną ufność w Panu. Wolno nam nawet prosić o to, by Ona swą opieką otoczyła nas wtedy, gdy przez naszą głowę, nasze serce będzie się przesuwając troska stała, co się stanie z tym, dla czego trudziliśmy się całe życie. Wszystko jedno, czy to jest rodzina, czy dzieło jakieś, czy idea. O to wolno nam prosić, by Ona stanęła u naszego wezglowia jak stała pod krzyżem, byśmy mogli z przekonaniem i największym spokojem powiedzieć jak Jej Syn — Oto Matka wasza — i Jej opiece powierzyć troskę o nasze zbożne umiłowanie.

O to wszystko wolno nam prosić, ale o jedno prosić musimy, by Ona swą macierzyńską opieką uprosiła nam łaskę ostatnią największą — wytrwania w łasce!

Kościół katolicki nauczył wszystkich wiernych tysiąc razy wzywać pomocy Najśw Matki na godzinę śmierci, i czynimy to zawsze w każdym „Zdrowaś Maryjo”, właśnie po to, by zapewnić wiernym łaskę największą ze wszystkich łask, którą sobie można wyprosić przez Jej wstawiennictwo, wymodlić, bo żadnym uczynkiem na nią zasłużyć nie można.

Członkowie Sodalicyj powinni tej modlitwie i prośbie nadać specjalne znaczenie, zrozumienie i pragnienie, bo na to zaciągnęli się w Jej służbę, by przez Jej pośrednictwo zdobyć ten najwyższy cel życia.

Na waszej piersi, oddychającej ciężko w chwili skonu będzie spoczywał medalik ten który dla was całe życie był tarczą, symbolem wytrwania napomnieniem i radością. Niech to „znamię Sodalicyj” będzie w tym najważniejszym momencie „na obronę ciała i duszy byście przy łasce Bożej i pomocy Maryi, Matki waszej zasłużyli sobie na wieczne zbawienie”.

Przed waszym, zachodzącym mgłą nieświadomości wzrokiem, będzie nad łóżkiem wisiał Wasz Sodalicyjny dyplom, dokument Waszego oddania się Jej w opiekę. Niechże on będzie dokumentem waszej wiernej służby, a jeśli były jakieś zaniedbania, niech będzie waszą świętą legitymacją do prawa opieki i wstawiennictwa Tej, która jest i będzie zawsze „Pocieszeniem strapionych”, „Ucieczką grzeszników”.

Niech Ona was nie opuszcza w godzinę śmierci, ale niech wówczas wyciągnie swą matczyną dłoń, by swą pomocą ochłodzić Wam zgorączkowane czoło — niech w swe matczyne ramiona przyjmie waszą duszę jak matka każda przyjmuje swe dziecko — bo Ją obraliście za Matkę i Królową, by być w Jej Królestwie na wieki.

Akt poświęcenia św. Jana Berchmansa

Święta Maryjo, Bogarodzico Dziewico, ja N. N., obieram Cię dzisiaj za Panią, Patronkę, Orędowniczkę i Matkę moją, mocno postanawiając, że nigdy Cię nie opuszczę i nigdy nic przeciw Tobie nie powiem, nie uczynię i nie pozwolę, by inni cokolwiek czynili, co by czci Twojej uwłaczało. Błagam Cię więc, przyjmij mnie za wiernego sługę Swego, bądź przy mnie we wszystkich sprawach moich i nie opuszczaj mnie w godzinę śmierci mojej. Amen.

Akt poświęcenia św. Franciszka Salezego

Przenajświętsza Panno i Bogarodzico Maryjo, ja choć niegodzien być sługą Twoim, wzruszony jednak przedziwną dobrocią Twoją i wiedziony pragnieniem służenia Tobie, obieram Cię dzisiaj w obecności mojego Anioła Stróża i całego Dworu niebieskiego, za Panią, Orędowniczkę i Matkę i mocno postanawiam nadal być zawsze sługą Twoim i starać się wedle możliwości, aby Tobie wszyscy wiernie służyli. Proszę Cię więc i błagam, Najlepsza Matko, przez Krew Jezusa Chrystusa za mnie przelaną, abys mnie w liczbę synów Swoich i za wiernego poddanego przyjmując raczyła. Wspomagaj mnie w każdej sprawie mojej i wyjednaj łaskę, abym w postępowaniu moim nigdy myślą, słowem i uczynkiem

*Twoich i Syna Twego oczu nie obraził. Pamiętaj o mnie
i nie opuszczaj mnie w godzinę śmierci. Amen.*